



Siła marzeń i wartości

Liderzy XXI wieku





Tytuł: **Siła marzeń i wartości**

Wydanie I

2025 r.

© Copyright WHY Media Group sp. z o.o.

ISBN 978-83-978865-0-6

Wydawnictwo: WHY Media Group sp. z o.o.

Współpraca: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”

Rozmawiała: Beata Sekuła

Teksty: Doria Halan, Beata Sekuła

Opracowanie graficzne: Anna Skowrońska

Skład: IDEAPRESS sp. z o.o.

Druk: Drukarnia Tolek

ISBN 978-83-978865-0-6





Siła marzeń i wartości

Liderzy XXI wieku

2025







Spis treści

- 5 **Prolog**
- 11 **Łączymy pasję z misją służenia ojczyźnie
i budowania jej prestiżu na mapie świata**
Bożena Banasik-Cieślak i Janusz Cieślak
- 29 **W życiu, jak w brydżu...**
Grzegorz Głasek
- 43 **Zawsze wiem, czego chcę**
Miroslaw Grewiński
- 55 **Najważniejsze, aby pozostać człowiekiem**
Władysław Grochowski
- 67 **Z Bełchatowa na Kapitol, z kopalni do senatu**
Tomasz Jagodziński
- 85 **Liczby kontra emocje**
Krzysztof Kobyliński
- 97 **Jestem szczęśliwym człowiekiem**
Edward Maniura
- 107 **Chodzi o to, by namalować obraz, który cię samego zaskoczy**
Elżbieta i Marian Murawscy
- 125 **W harmonii z naturą i z samym sobą**
Narantuya Nomindalai i Och Bataa
- 137 **Wędrownica przez życie**
Józef Skrzek
- 149 **Kompas życia**
Alicja i Sławek Wojciechowscy







Prolog

Co to za książka i jakie zawarte w niej opowieści! Podczas jej tworzenia mój komputer zaczął iskrzyć, topić się, a nawet palić, a to wszystko chyba z emocji, jakie towarzyszyły kreacji rozdziałów o *Kobietach Charyzmatycznych* i *Liderach z powołania*. Historie bohaterów powstawały na przełomie dwóch wieków, ale niektóre zaczęły się już przed II wojną światową...

Kim są ci niezwykli bohaterowie? Książka zawiera wywiady z kobietami, które zostały nagrodzone statuetkami *Nadzwyczajnych Kobiet Charyzmatycznych* i liderami, czasami parami liderów uhonorowanych statuetkami *Liderów XXI wieku*. Za co zostali nagrodzeni? Czy to postacie, które chciały pochwalić się swoimi działaniami biznesowymi, artystycznymi bądź naukowymi? Otóż, nie!

To ja zwróciłam się do nich z prośbą o udzielenie wywiadów. Byłam ciekawa jakimi ludźmi są osoby o takich osiągnięciach, jak np. **Józef Skrzek** na polu muzycznym, prekursor wielu rozwiązań muzycznych, nagrodzony Złotym Fryderykiem i uznany na świecie kompozytor, wokalista i instrumentalista czy **Beata Drzazga** – przedsiębiorczyni na skalę międzynarodową w branży medycznej, ale i elektronicznej oraz modowej. Intuicja podpowiadała mi, że są to osoby nie tylko o wielkich talentach, umysłach, ale i sercach.

Czy tak jest, możecie sprawdzić sami... Może uda Wam się – Drodzy Czytelnicy – dowiedzieć czegoś więcej? Może odnajdziecie tu także swoją drogę do spełnienia, inspiracje czy motywacje do Waszych działań. Pomimo wyzwań, czasem upadków i głębokich ran, każdy z nas ma talent do czegoś innego oraz własne marzenia, chociaż często głęboko ukryte.





Może trzeba tak jak **Grzegorz Głasek** – Prezes SPS Construction, nie myśleć o nich w kategorii dalekosiężnych marzeń, tylko planów, podzielić na etapy realizacji, a potem przystąpić do działań...

Teresa Jonas – Pani Prezes Galerii Wiślanka twierdzi, że problemy, które napotykamy w życiu, prowadzą nas do czegoś nowego, często lepszego.

Prof. **Anna Weissbrot-Koziarska** – Pani Prorektor Uniwersytetu Opolskiego, ekspert Programu TVN – Uwaga, podkreśla, że zawsze jednak chodzi o to, aby każdy człowiek, pomimo wsparcia, jakie otrzymuje, czuł się odpowiedzialny za swój los.

Wartości i pomaganie innym to sens życia, może też być stylem i pracy, i życia, o czym mówi **Jadwiga Kuczkowska** – Prezes PSI Polska.

Prezes **Władysław Grochowski** nie daje symbolicznej ryby osobom wykluczonym, ale wędkę, nie traktuje osób z niepełnosprawnością czy nawet więźniów jak podopiecznych, tylko ich zatrudnia w Fundacji Leny Grochowskiej lub w Hotelach Grupy Arche.

Prof. dr hab. **Mirosław Grewiński**, Rektor Uczelni Korczaka, zgodnie z wartościami korczakowskimi, efektywnie, szkoli pracowników służb społecznych, kładąc nacisk na prawa dziecka.

Dr **Iwona Sosnowska-Wieczorek** zwraca uwagę, że jesteśmy piękni w różnorodności, bez względu na rasę i narodowość, wiek czy rodzaj dysfunkcji.

Mongolskie małżeństwo lekarzy: dr **Narantuya Nomindalai** i dr **Och Bataa** podkreśla wagę prewencji, a nie tylko leczenia chorób, kładzie nacisk na holistyczne podejście do zdrowia w ujęciu medycyny europejskiej, ale także azjatyckiej.

Senator **Tomasz Jagodziński**, dziennikarz, były piłkarz i dyrektor Muzeum Sportu w PKOl opowiada o szczęściu, jakie dała mu turystyka sportowa – zwiedził ponad 100 krajów.

Podobnie **Janusz Cieślak** – Prezes Europejskiego Klubu Biznesu Polska, wraz z przedsiębiorczą małżonką **Bożeną Banasik-Cieślak**, reprezentował Polskę przed największymi władcami tego świata.

Natomiast Burmistrz **Edward Maniura** po latach bardziej globalnej polityki wybrał zarządzanie lokalne – Miastem Lubliniec, gdzie piastuje to stanowisko już od pięciu kadencji.

Z kolei Mecenasa **Nadija Hinderer**, legalizująca pobyty obcokrajowców w Polsce, powtarza, że trzeba wspierać artystów, bo czym byłoby nasze życie bez sztuki? Malarze **Elżbieta** i **Marian Murawscy** zabierają nas z kolei w świat baśni, i to nie tylko Baśni Braci Grimm, których byli ilustratorami, dr **Ilona Kanclerz** – w świat





Prolog

mody i architektury, a **Karo Glazer** (ubiegająca się o nagrodę Grammy) i **Krzysztof Kobyliński** na światowe turnie muzyczne.

Tytuł książki – Siła marzeń i wartości – zaczął się rodzić już podczas pierwszych wywiadów przeprowadzonych z edukatorkami **Aliną Roszczyńską**, coach, mentorką i **Magdaleną Wontek** – dyrektorką szkoły „Twoja Przyszłość”. A na czytanie książki zapraszamy do ogrodu marzeń nad jeziorem Państwa **Alicji i Sławka Wojciechowskich**, którzy po 50 latach związku zbudowali nowy dom, a zarazem pensjonat w miejscu swojej pierwszej randki...

Beata Sekuła

*Kobieta charyzmatyczna to nie ta, która najgłośniej mówi,
lecz ta, która swoją osobowością potrafi wywołać u innych
poczucie zaufania, inspiracji i szacunku.*

Izabela Maruszewska

terapeutka, Prezes Fundacji Human Sensor
Kobieta Charyzmatyczna

*Lider XXI wieku to więcej niż osoba wyznaczająca trendy w swoim
środoisku – to ktoś charyzmatyczny, świadomie kierujący wizjoner,
potrafiący łączyć wyzwania nowych czasów z człowieczeństwem.
Lider to odważny, autentyczny Człowiek, który empatycznie łączy
działania z wartościami. Potrafi znaleźć innowacyjne rozwiązania
i swoimi działaniami motywuje innych. Jest Liderem w rozwoju
i słuchaniu innych – tworząc niekonwencjonalne rozwiązania.
Inspiruje i skutecznie zarządza, a z zespołów ludzi tworzy to,
co najlepsze. Pokazuje, jak zaufać nowoczesności i zachęca
do eksperymentowania. Jednocześnie sam daje przykład –
stając się motywatorem dla innych.*

Eugeniusz Witek

aktor, piosenkarz, prezenter telewizyjny, przedsiębiorca,
Lider XXI wieku







Bożena i Janusz Cieślak



Bożena i Janusz Cieślak

Partnerzy w życiu, w biznesie i dyplomacji: Bożena Banasik-Cieślak – społeczny doradca Zarządu Europejskiego Klubu Biznesu Polska, aktywnie wspierająca działania Stowarzyszenia EKB, założycielka spółki handlowej w Londynie i Janusz Cieślak, prezes Stowarzyszenia Europejski Klub Biznesu Polska, które powołał w 2012 roku, ekspert Światowego Kongresu Polaków ds. Współpracy Gospodarczej, organizator zagranicznych misji gospodarczych. Państwo Cieślakowie współpracowali przez 10 lat z Singapurem, mieszkali tam przez kilka lat i nadal pozostają honorowymi członkami prestiżowego klubu Pantry Club Singapore. Janusz Cieślak pełnił tam funkcję dyrektora polskiego oddziału Polsko-Singapurskiej Spółki Handlowej „Polsin”, następnie Radcy Handlowego – Chargé d'affaires a.i. w Ambasadzie RP w Singapurze. Później przez cztery lata był organizatorem i dyrektorem Polskiego Centrum Handlu i Promocji w Londynie, powołanego przez Krajową Izbę Gospodarczą. W tym czasie prezentował nieznane na rynku angielskim możliwości polskich firm, których produkty trafiały następnie – dzięki angielskim pośrednikom – na różne rynki światowe, do największych sieci handlowych, takich jak John Lewis, Selfridges & Co i Sainsbury's. W kolejnych latach związał się ze spółkami prawa handlowego, pełniąc funkcję członka zarządu oraz zasiadając w radach nadzorczych. Współpracował także z Polskim Komitetem Olimpijskim. W okresie działalności trenera Kazimierza Górskiego był kierownikiem reprezentacji juniorów w Polskim Związku Piłki Nożnej. W drużynie tej grali między innymi Zbigniew Boniek, Adam Nawałka i Janusz Kupcewicz. Następnie pełnił funkcję Wiceprezesa PZPN. Został nagrodzony m.in. *Złotą Odznaką Honorową PZPN*. Wcześniej otrzymał także *Złotą Odznakę Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej*. Uehonorowany został również przez prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Andrzeja Kraśnickiego, medalem okolicznościowym z okazji 100-lecia PKOl. Janusz Cieślak odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Prezydent Mongolii wręczył mu najważniejsze wyróżnienie przyznawane cudzoziemcom przez rząd Mongolii – Medal Przyjaźni. Od wielu lat Janusz Cieślak jest utytułowanym *Liderem z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii: *Lider XXI wieku*.



Łączymy pasję z misją służenia ojczyźnie i budowania jej prestiżu na mapie świata

Inspirująca rozmowa o wzajemnym wsparciu małżonków na drodze zawodowej oraz o zachowaniu harmonii w życiu prywatnym. Przez wiele lat promowali polską gospodarkę i przedsiębiorców nie tylko w kraju, ale także na rynkach zagranicznych, w tym tak odległych jak Singapur czy Mongolia.

Janusz Cieślak oraz jego żona – Bożena Banasik-Cieślak, opowiadają jak konsekwentnie budowali pozytywny wizerunek Polski i wspierali rozwój relacji międzynarodowych – m.in. podczas spotkań z Królową Elżbietą II, Księciem Filipem oraz sułtanem Brunei – a także o budowaniu relacji biznesowo-towarzyskich z Chińczykami i pracy nad rozwojem międzynarodowego zaufania.

Czy bycie liderem to coś, co rozwijałeś świadomie, czy raczej wynikało to z Twojego charakteru?

JC: Nie urodziłem się liderem, ale sądzę, że pewne moje cechy osobowości od wczesnych lat sprzyjały temu, że potrafiłem rozmawiać z ludźmi, z nimi współpracować i nimi kierować. Jednakże sukces w biznesie nie zależy tylko od predyspozycji indywidualnych i charakteru człowieka, ale także od pracy





nad rozwojem osobistym. Jak wiadomo rozwój osobisty jest świadomym procesem poznawania swoich mocnych i słabych stron oraz rozwoju tych pierwszych. Moje predyspozycje lidarskie ujawniały się również poprzez nieustanne podnoszenie kwalifikacji. Ukończyłem Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim, potem Podyplomowe Studium Handlu Zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, Podyplomowe Studium Służby Zagranicznej oraz Podyplomowe Studium Zarządzania Zasobami Ludzkimi. Zdałem egzamin państwowy na Członka Rad Nadzorczych Spółek Skarbu Państwa oraz egzamin z zakresu zarządzania strategicznego dużymi firmami.

Czy wybór kierunków studiów był efektem świadomego planu, czy raczej odpowiedzią na zmieniające się okoliczności?

JC: Po ukończeniu studiów prawniczych rozpocząłem pracę w Centrali Handlu Zagranicznego CIECH. Jeden z bardzo życzliwych dyrektorów – a środowisko było tam sympatyczne – zaproponował mi angaż w dziale prawnym. Ja jednak chciałem zajmować się handlem zagranicznym. Powiedział wtedy: „Jeśli ma Pan tylko studia prawnicze, będzie Panu trudno u nas się przebić”. Zdecydowałem się więc na dalsze kształcenie w SGPiS, na nowo utworzonym trzyletnim studium handlu zagranicznego. Stopniowo awansowałem, aż objąłem stanowisko dyrektora biura. Było to spore osiągnięcie, ponieważ w CIECHU wymagania zawodowe były bardzo wysokie. Rozpocząłem także pisanie pracy doktorskiej, ale otrzymałem propozycję pracy jako *attaché* handlowy i *chargé d'affaires a. i.* (szef misji dyplomatycznej) ambasady RP w Rangunie w Birmie (obecnie: Mjanma).

Jakie stosunki handlowe Polska miała z Birmą?

JC: Birma zainteresowana była maszynami rolniczymi i chemikaliami. Udało się również wygrać przetarg na dostawę statków żeglugi przybrzeżnej. Jednakże nasz MSZ podjął decyzję o zamknięciu placówki ze względu na pogarszającą się sytuację polityczną w Birmie i trwającą do dziś wojnę domową.

Jak doszło do tego, że Singapur stał się kolejnym etapem Twojej kariery?

JC: Jeszcze jako pracownik CIECHU współpracowałem z polsko-singapurską spółką handlową POLSIN, której organizatorem był właśnie CIECH. Pozyskiwaliśmy dla niej dostawców w Polsce i wyszukiwaliśmy różnego rodzaju firmy polskie zainteresowane rynkiem singapurskim oraz wejściem na inne rynki Azji Południowo-Wschodniej. Zostałem jednym z dyrektorów spółki POLSIN, która świetnie radziła sobie na rynku singapurskim, osiągając znaczące obroty oraz dużą dynamikę rozwoju. Wśród wielu spółek założonych przez CIECH, POLSIN





Ceremonia odznaczenia Janusza Cieślaka Medalem Przyjaźni. Prezydent Mongolii Ukhnaa Khurelsukh i Prezes EKB Polska Janusz Cieślak.

był jedną z najlepiej rozwijających się i najprężniej działających. Działalność Spółki była także wysoko oceniana przez ówczesne Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. W 1987 roku ówczesny minister zaproponował mi stanowisko radcy handlowego i funkcję *chargé d'affaires a.i.* ambasady RP w Singapurze. W czasie mojej pracy doprowadziliśmy do realizacji kilku istotnych spraw dla polskiej gospodarki. Oprócz POLSINU doszło do założenia w Singapurze jeszcze dwóch innych spółek z udziałem kapitału polskiego. Z mojej inicjatywy udało się doprowadzić do pierwszego uruchomienia bezpośredniego połączenia lotniczego między Warszawą a Singapurem. Inauguracyjny rejs PLL LOT odbył się w dniu 10 listopada 1988 roku. Pragnę nadmienić, że bezpośrednie połączenie Warszawa–Singapur uruchomione 15 maja 2018 roku nie było de facto pierwszym, ale jedynie wznowionym połączeniem lotniczym na tej trasie. Singapurski model biznesu opiera się w dużej mierze





Janusz Cieślak w biurze w Ambasadzie RP w Singapurze

na zasadzie: kupił – sprzedał – zarobił. Coraz więcej polskich przedsiębiorców sprowadzało stamtąd komputery, elektronikę, pierwsze telefony komórkowe, urządzenia biurowe, więc ówczesny dyrektor LOT-u przystał na moją propozycję uruchomienia bezpośredniego połączenia Warszawa–Singapur raz w tygodniu. Udało się również doprowadzić do rozmów na temat za-

warcia umowy o uniknięciu podwójnego opodatkowania, które zakończyły się jej podpisaniem. Byłem także inicjatorem zawarcia umowy o wzajemnej ochronie inwestycji. Została ona podpisana już po zakończeniu mojej misji.



Janusz Cieślak i Bożena Banasik-Cieślak





Janusz Cieślak z małżonką w drodze na spotkanie dyplomatyczne

Oprócz rynku w Singapurze do moich kompetencji należała także współpraca gospodarcza z rynkami Tajwanu, Bangladeszu, Filipin i Hong Kongu. Jeździliśmy tam regularnie i dobrze znamy cały ten region.

BB-C: W tym okresie obroty spółki POLSIN wzrosły o 60–70 proc.

Co Polacy sprzedawali w Singapurze?

BB-C: Głównie chemikalia, artykuły żywnościowe oraz maszyny i urządzenia. Kupowane wyroby Singapur wykorzystywał jako półprodukt do produkcji własnych wyrobów lub odsprzedawał innym krajom Azji Południowo-Wschodniej. Pełnił rolę pośrednika w handlu różnymi towarami na cały ten region. Bangladesz, na przykład, kupował bardzo duże ilości mleka w proszku.

Które elementy kultury singapurskiej okazały się dla Was najbardziej zaskakujące?

BB-C: Singapur to państwo bardzo zróżnicowane pod względem etnicznym i kulturowym. Zdecydowaną większość mieszkańców stanowią Chińczycy, (ok. 74–78 proc. ludności), drugą co do wielkości grupą są Malajowie (ok. 13–14 proc.), trzecią grupę stanowią Hindusi (ok. 7–9 proc.). Pozostałe grupy to różne mniejszości pochodzenia europejskiego i azjatyckiego. W tym okresie Singapur szybko się rozwijał i modernizował, przy zachowaniu i pielęgnowaniu





bogatych tradycji kulturalnych obywateli. Państwo dużą wagę przywiązywało do harmonijnego współistnienia różnych kultur i religii, co było czynnikiem niezbędnym dla stabilności i rozwoju kraju.

JC: Mnie zaskoczyło przede wszystkim podejście Singapurczyków do pracy. Pracowali tyle, ile było trzeba. Jeśli szef oznajmiał, że danego dnia ktoś musi zostać godzinę lub dwie dłużej, traktowali to jak coś zupełnie naturalnego. Urlopy brali rzadko i zazwyczaj nie dłuższe niż dwa tygodnie. Co ciekawe, w trakcie urlopu przychodzili z rodzinami, z dziećmi, by odwiedzić miejsce pracy. Uważali, że jeśli wezmą dłuższy urlop, to może to oznaczać, że firma poradzi sobie bez nich – więc są zbędni. Gdy pracowałem w spółce POLSIN, jeden z chińskich pracowników otrzymał wezwanie do wojska na kilka tygodni. Zaproponowałem, że wystąpię do jego władz o odroczenie terminu. A on odpowiedział: „Szefie, jakże? To mój obowiązek”.

BB-C: Bardzo podobało nam się również to, że każdy Singapurczyk, rozliczając się z podatków, otrzymywał z urzędu szczegółowy wykaz, ile procent z zapłaconej przez niego kwoty zostało przeznaczone na ochronę zdrowia, ile na edukację, ile na kulturę i inne cele. Każdy obywatel wiedział w jakim stopniu współfinansuje swój kraj. Sama chciałabym otrzymywać takie zestawienie – to buduje większe poczucie odpowiedzialności za wspólnotę.

A czy Ty Bożenko w czasie pobytu w Singapurze także angażowałaś się zawodowo?

BB-C: Tak, znając język angielski pracowałam w Ambasadzie – zajmowałam się księgowością, organizowałam spotkania, podejmowałam gości. Moją rolą było wspieranie misji dyplomatycznej i gospodarczej męża oraz pielęgnowanie stosunków dyplomatycznych między Polską a Singapurem. Aktywnie uczestniczyłam w życiu korpusu dyplomatycznego, w szczególności brałam udział i sama organizowałam spotkania pań – małżonek ambasadorów, udzielałam się przy organizacji akcji dobroczynnych na rzecz dzieci, etc. Ukończyłam Wydział Zarządzania na Uniwersytecie Warszawskim więc, jak mawia mój mąż, zarządzanie mam we krwi.

JC: Kiedy do Singapuru przyleciała Królowa Elżbieta z małżonkiem, uczestniczyliśmy w oficjalnym spotkaniu. Protokół nie przewidywał rozmów – monarchini miała jedynie przejść przed szpalerem korpusu dyplomatycznego. Wszyscy staliśmy w wyznaczonym szyku, a królowa zatrzymała się właśnie





Bożena i Janusz Cieślak



Spotkanie z Prezydentem Węgier. Drugi od strony lewej Prezydent Węgier Árpád Göncz, Bożena Banasik-Cieślak, Janusz Cieślak i Ambasador RP na Węgrzech Grzegorz Łubczyk.

przed moją żoną – jako jedyną osobą w całym korpusie i zamieniła z nią kilka słów. Wszyscy byli zaskoczeni. Księżę Filip był także żywo zainteresowany poznaniem nas i miałem okazję z nim porozmawiać. Ze strony matki był potomkiem polskiej szlachcianki.

BB-C: Podczas wizyty Sułtana Brunei Hassanal Bolkiah Mu'izzadin Waddaulah, jednego z najbogatszych ludzi na świecie, nota bene, obecnie najdłużej panującego żyjącego monarchy, również staliśmy w szpalerze korpusu. Zatrzymał się tylko przy nas i rozpoczął rozmowę z Januszem. Pytał skąd jesteśmy i stwierdził, że z Polską chętnie nawiąże stosunki dyplomatyczne oraz zaprosił nas do Brunei.

JC: Po tej rozmowie zaproponowałem naszemu ministrowi spraw zagranicznych, aby rozważył możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych, ale wówczas





Janusz Cieślak z małżonką Bożeną Banasik-Cieślak przy torcie podczas oficjalnej uroczystości obchodów święta narodowego.

MSZ nie było tym zainteresowane. Innym razem przeżyliśmy ciekawą przygodę podczas obchodów święta narodowego Singapuru. Uroczystość odbywała się na stadionie. Członkowie korpusu dyplomatycznego podjeżdżali samochodami z flagami swoich państw i byli kierowani na boczną alejkę. Tymczasem, gdy zobaczyli nasz samochód skierowali nas na główny wjazd na stadion. Zrobiliśmy honorową rundę, a wszyscy obecni wstali, podobnie, jak to miało miejsce podczas przyjazdu na stadion Prezydenta Singapuru.

BB-C: Później wśród korpusu dyplomatycznego komentowano, że mieliśmy zupełnie wyjątkowe honorowe wejście. Generalnie Singapurczycy są bardzo życzliwi. Kiedy jacht Donalda Trumpa *Trump Princess* zawitał do mariny w Singapurze,





byliśmy jednymi z nielicznych członków korpusu dyplomatycznego, zaproszonych na wieczorne przyjęcie zorganizowane na tym jachcie, który wówczas wart był ponad 20 mln dolarów. Nasza wizyta została odnotowana przez magazyn Tatler Singapore, prestiżowe singapurskie czasopismo poświęcone stylowi życia. Byliśmy, i pozostajemy, honorowymi członkami prestiżowego klubu Pantry Club Singapore.

Jak układała się współpraca z singapurskimi partnerami biznesowymi?

JC: Współpraca z Chińczykami w Singapurze przebiegała bardzo dobrze. Mieliśmy kontakt z wyjątkowo kompetentnymi przedsiębiorcami. Zdobycie ich zaufania biznesowego wymagało jednak czasu – w niektórych przypadkach proces ten trwał nawet trzy lata. Spotkania odbywały się zazwyczaj w restauracjach, a relacje miały początkowo oficjalny charakter. Dopiero gdy zaczęli zapraszać mnie i moją żonę do swoich domów, dystans się zmniejszał, a wiele spraw można było później załatwiać telefonicznie. Miernikiem owocnej współpracy i poziomu relacji handlowych polsko-singapurskich była pod koniec mojej misji otrzymana z tamtejszego ministerstwa odpowiedzialnego za sprawy współpracy z zagranicą propozycja reprezentowania interesów gospodarczych Singapuru w Polsce. Mnie jednak zawsze interesowała promocja Polski i eksport polskich produktów na rynki zagraniczne. Z własnej inicjatywy przygotowałem wówczas projekt utworzenia Polskiego Centrum Handlu i Promocji w Singapurze, który miał umożliwić sprzedaż polskich produktów w regionie całej Azji Południowo-Wschodniej.

BB-C: Zakładaliśmy także, że w Singapurze powstanie polski bank, który obsługiwałby wszystkie transakcje handlowe związane z tym przedsięwzięciem. Jeszcze podczas pobytu w Singapurze Janusz podjął rozmowy na ten temat z ówczesnym prezesem Banku PKO BP, który wyraził zainteresowanie przedstawioną propozycją.

JC: Po powrocie do kraju przedstawiłem koncepcję organizacji Polskiego Centrum Handlu i Promocji w Singapurze ówczesnemu ministrowi współpracy z zagranicą. Pomysł bardzo mu się spodobał, ale wstrzymywał się z decyzją, tłumacząc, że nie wszystko zależy od niego. Tymczasem wieści o projekcie rozeszły się i pewnego dnia zaprosił mnie na rozmowę prezes Krajowej Izby Gospodarczej. Zaproponował współpracę – tyle, że nie w Singapurze, a w Londynie. W ten sposób trafiliśmy na kilka lat do Londynu. Było to pierwsze zagraniczne centrum handlowe zorganizowane przez stronę polską. Później podobne ośrodki zaczęto tworzyć w innych krajach.





Jak długo trwała Wasza działalność w Londynie?

BB-C: Janusz przez cztery lata był dyrektorem Centrum, a ja po zakończeniu jego misji założyłam tam spółkę handlową działającą przez wiele lat.

JC: Zorganizowanie polskiego Centrum wywołało duże zainteresowanie zarówno brytyjskich przedsiębiorców, jak i Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii. Otrzymywaliśmy wiele propozycji współpracy i zaproszeń do różnych miast. Naszym głównym zadaniem była prezentacja możliwości produkcyjnych i handlowych polskich przedsiębiorców.

Braliśmy udział w różnego rodzaju targach i wystawach organizowanych na terenie Wielkiej Brytanii, gdzie reprezentowaliśmy polskich producentów. Poszukiwaliśmy także partnerów do organizacji w obydwu krajach wspólnych polsko-brytyjskich spółek produkcyjnych i handlowych. Prezentowaliśmy nieznane na rynku angielskim możliwości polskich firm, które następnie produkowały asortyment sprzedawany przy pomocy angielskich pośredników na różnych rynkach światowych.

Dla wyselekcjonowanych polskich firm, które miały potencjał handlowy na rynku brytyjskim, organizowaliśmy w różnych miastach Wielkiej Brytanii prezentacje z udziałem przedstawicieli z Polski. Przedsięwzięcia nasze cieszyły się dużym zainteresowaniem przedsiębiorców brytyjskich, a także mieszkańców miast, w których się odbywały. Szczególnie dobre kontakty mieliśmy w Szkocji, gdzie mieszkano i pracowało w biznesie sporo naszych rodaków. Otrzymaliśmy wiele propozycji organizowania sklepów handlowych z polskimi towarami. Nie znajdowały one jednak zainteresowania ze strony polskich przedsiębiorców, ale udało się wprowadzić polskie towary do dużych sieci handlowych, takich jak John Lewis, Selfridges & Co i Sainsbury's.

Jak potoczyła się Twoja kariera zawodowa po zakończeniu misji zagranicznych?

JC: W kolejnych latach związałem się ze spółkami prawa handlowego – pełniłem funkcje członka zarządu oraz zasiadałem w radach nadzorczych. Współpracowałem także z Polskim Komitetem Olimpijskim. Zresztą moje kontakty ze sportem sięgały wcześniejszych lat – w czasach działalności trenera Kazimierza Górskiego byłem kierownikiem reprezentacji juniorów w Polskim Związku Piłki Nożnej. W drużynie tej grali między innymi Zbigniew Boniek, Adam Nawałka i Janusz Kupcewicz. Pełniłem potem także funkcję Wiceprezesa PZPN. Zostałem nagrodzony Złotą Odznaką Honorową PZPN. Wcześniej otrzymałem także Złotą Odznakę Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej. Aktywnie działałem





Bożena i Janusz Cieślak



”

To bardzo ważne, że ludzie angażują się w działalność pro publico bono, mają taką potrzebę, a jednocześnie korzystają z kontaktów, wymieniają się doświadczeniami, wspierają nawzajem.





w Warszawskim Klubie Płetwonurków, wykonując szereg różnych akcji ratowniczych i poszukiwawczych. Posiadam *Błękitny Krzyż WOPR za Wybitne Zasługi dla Ratownictwa Wodnego*. Z czasem zaangażowałem się w działalność Polskiego Klubu Biznesu, gdzie pełniłem funkcję Wiceprezesa, a następnie w tworzenie Europejskiego Klubu Biznesu – inicjatywy, która miała na celu wspieranie polskiej przedsiębiorczości w skali międzynarodowej.

BB-C: Warto dodać, że w 2022 roku Janusz został uhonorowany przez prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Andrzeja Kraśnickiego, medalem okolicznościowym z okazji 100-lecia PKOI. Był to wyraz uznania za wieloletnią współpracę z Januszem oraz wkład naszego Stowarzyszenia w promocję polskiego sportu.

Jak narodziła się idea powołania Europejskiego Klubu Biznesu?

JC: W 2001 roku wspólnie z grupą przedsiębiorców z Polski i z Niemiec, podjęliśmy decyzję o stworzeniu organizacji, która wspierałaby rozwój biznesu w całej Europie. Tak powstał Europejski Klub Biznesu z siedzibą w Niemczech, w którym objąłem funkcję wiceprezydenta. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że każdy kraj powinien mieć swój własny klub, dostosowany do lokalnych realiów. Tym bardziej, że w niemieckiej strukturze zaczęły pojawiać się wpływy polityczne, a mnie interesują wyłącznie sprawy gospodarcze i przedsiębiorczość. Dlatego też w roku 2012 postanowiłem powołać Stowarzyszenie Europejski Klub Biznesu Polska, którego od początku jestem prezesem.

Jakie są główne cele tej organizacji?

JC: Przede wszystkim warto podkreślić, że Stowarzyszenie EKB Polska jest jedyną w kraju organizacją biznesową niezatrudniającą pracowników i działającą w formule non profit. Istnieje już od 13 lat i nikt, włącznie ze mną, nie pobiera w nim wynagrodzenia. Stowarzyszenie finansowane jest ze składek członkowskich. Swoją działalnością chcemy realnie wspierać rozwój naszego kraju. Nasze motto to *Organizacja otwarta dla wszystkich, którym zależy na rozwoju biznesu, przedsiębiorczości, gospodarki, nauki, kultury i sportu*. Działamy w trzech obszarach: *Przedsiębiorczość – Współpraca – Sukces*. A zatem m.in. wspieranie działalności gospodarczej członków Stowarzyszenia i promowanie inicjatyw na rzecz rozwoju przedsiębiorczości, pomoc w nawiązywaniu kontaktów z parterami krajowymi i zagranicznymi, budowanie prestiżu i wysokiej pozycji środowiska biznesowego w Polsce, popularyzacja i promocja przedsiębiorców, firm, instytucji i organizacji oraz nagradzanie wybitnych osobowości i firm.





BB-C: To bardzo ważne, że ludzie angażują się w działalność pro publico bono, mają taką potrzebę, a jednocześnie korzystają z kontaktów, wymieniają się doświadczeniami, wspierają nawzajem. Janusz nieustannie pozostaje aktywny – wciąż ma nowe pomysły, inicjuje działania, rozwiązuje problemy. Trzeba mieć pasję i chęć, by robić coś dla innych.

JC: Od 2015 roku przyznajemy honorowo nagrody osobom i firmom, które w szczególny sposób przyczyniły się do rozwoju różnych dziedzin działalności w Polsce, a także osiągnęły sukcesy o zasięgu europejskim i światowym. Gale wręczenia nagród odbywały się głównie na Zamku Królewskim w Warszawie, a także w Pałacu Jana III Sobieskiego w Wilanowie, Teatrze Królewskim w Łazienkach Królewskich oraz w Centrum Olimpijskim w Warszawie. Naszym podstawowym celem pozostaje wspieranie polskich przedsiębiorców i budowanie pomostów między nimi a partnerami zagranicznymi. Staramy się przecierać szlaki – na przykład w Mongolii – otwierając nowe możliwości współpracy.

Nie tak dawno, bo w marcu 2025 roku zostałeś uhonorowany Medalem Przyjaźni przez Prezydenta Mongolii – w uznaniu za rozwijanie relacji polsko-mongolskich. Kiedy zaczęły się Wasze kontakty z Mongolią?

JC: W dniu 14 marca 2025 roku w trakcie oficjalnej wizyty Prezydenta Mongolii Ukhnaa Khurelsukh w Warszawie zostałem odznaczony Medalem Przyjaźni, który jest najwyższym wyróżnieniem przyznawanym cudzoziemcom przez rząd Mongolii. Obejmuje on wyłącznie obcokrajowców, którzy prowadzoną działalnością przyczynili się do wzmocnienia współpracy między swoim krajem a Mongolią.

Jako Europejski Klub Biznesu Polska rozpoczęliśmy współpracę z Mongolią w 2019 roku. Braliśmy udział i również sami organizowaliśmy misje gospodarcze do Mongolii. Ważnym osiągnięciem klubowym był udział zespołu wybitnych polskich architektów, urbanistów i inżynierów kierowanego przez członka zarządu EKB Polska, Macieja Burchardta – prezesa firmy Projekt Budu – w międzynarodowym konkursie *Nowe Miasto Kharkhorum* ogłoszonym przez rząd Mongolii. Polski projekt znalazł się w gronie dwudziestu najlepszych spośród 550 zgłoszeń z całego świata. Mongolia to kraj o ogromnym potencjale – posiada bogate złoża surowców naturalnych i jedno z największych na świecie nieeksploatowanych zasobów miedzi i węgla, co czyni go potencjalnym strategicznym partnerem dla inwestorów z sektora wydobywczego. Ponadto obfituje w dzikie owoce, takie jak rokitnik czy jałowiec, ale jabłka, śliwki czy brzoskwinie musi importować. W zeszłym roku przeprowadzono badania,





które miały ocenić możliwość uprawy tych owoców w lokalnym klimacie. Kraj wykazuje również duże zapotrzebowanie na budowę nowoczesnych szklarni. Dlatego przygotowaliśmy kompleksowy projekt utworzenia Polskiego Centrum Handlowego w Ułan Bator, który miał na celu zacieśnienie relacji gospodarczych oraz stworzenie stałej platformy współpracy dla polskich przedsiębiorców. Idea utworzenia Centrum wciąż pozostaje aktualna i – moim zdaniem – zasoby Mongolii oraz życzliwy stosunek Mongołów do naszego kraju stanowią mocne uzasadnienie, by w przyszłości została zrealizowana. Pomimo ogromnego potencjału Mongolia jest w naszym kraju wciąż niedoceniana jako bardzo interesujący partner gospodarczy i handlowy. Dodatkowym czynnikiem przemawiającym za dalszym rozszerzeniem współpracy jest fakt, że w kraju tym żyje i pracuje na różnych stanowiskach także rządowych około 700 Mongołów – absolwentów różnych polskich uczelni.

BB-C: W moim przypadku, kontakty sięgają wiele lat wstecz. Mój tata był inżynierem, pracował dla przemysłu drzewnego i na zaproszenie CHZ POLIMEX-CEKOP zaprojektował oraz nadzorował budowę kombinatu drzewnego w Mongolii. W związku z tym przez cztery lata mieszkaliśmy w Ułan Bator. To był dla mnie jako dziecka bardzo interesujący czas – pierwszy kontakt z inną kulturą, innym klimatem, innym stylem życia.

Jakie wspomnienia z tamtego okresu najbardziej zapadły Ci w pamięci?

BB-C: Przede wszystkim surowy klimat – wyjątkowo mroźne zimy oraz bardzo gorące i krótkie lata, koczowniczy tryb życia mieszkańców, wszechobecne jurty oraz konie w kraju, który jest pięć razy większy od Polski. Wówczas też Mongołowie ubierali się wyłącznie w stroje ludowe – *deel*. Bardzo duże wrażenie zrobiły na mnie obchody świąt narodowych – Naadam. Z tamtego okresu zapamiętałam także życzliwość i uśmiech Mongołów. Mongolia, położona między Rosją a Chinami, zawsze była obszarem rywalizacji tych dwóch potęg. Dziś kraj dynamicznie się rozwija, aspiruje do najwyższych standardów, stawiając na jakość i prestiż.

Z czego jesteście najbardziej dumni?

JC: Prywatnie – bez wahania mogę powiedzieć, że najbardziej jestem dumny ze swojej żony. Zawodowo – z trafności podejmowanych decyzji także w zakresie współpracy międzynarodowej. Przykładem może być inicjatywa rządu brytyjskiego, który zaproponował specjalne środki finansowe dla przedsiębiorców decydujących się na inwestycje w Mongolii. Dobry rząd potrafi dostrzec





Bożena i Janusz Cieślak



Bożena Banasik-Cieślak i Janusz Cieślak, 2025 r.





i wykorzystać takie szanse. To dla mnie potwierdzenie, że w Europejskim Klubie Biznesu Polska obrałszy właściwy kierunek.

BB-C: Wspólna droga zawodowa wymaga wzajemnego wsparcia. Przez lata moja rola doradcza była znacząca – nie tylko w kwestiach merytorycznych, ale również w codziennych decyzjach. Uważam, że życie zawodowe nie może dobrze funkcjonować bez harmonii w życiu prywatnym. Te dwa obszary muszą się zazębiać, uzupełniać i wzmacniać nawzajem. I właśnie z tej równowagi jestem najbardziej dumna.

W jaki sposób spędzacie wolny czas?

BB-C: Kiedyś z przyjemnością graliśmy w tenisa, dziś częściej jeździmy na rowerach, pływamy, ja regularnie ćwiczę jogę. Staramy się dbać o aktywność fizyczną i równowagę – to ważne nie tylko dla zdrowia, ale i dla zachowania energii do dalszego działania.





Grzegorz Glasek





Grzegorz Głasek

od 20 lat zarządza przedsiębiorstwem budowlanym SPS Construction. Jest mecenasem kultury i sztuki oraz sportu. Wydaje też własne książki, m.in. *Zbiór anegdot* czy *Spełnić ambicje*. Kocha muzykę, a w wolnych chwilach śpiewa piosenki Seweryna Krajewskiego.

W sierpniu 2025 roku założony przez niego 15 lat temu zespół SPS Construction Kielce zdobył złoty medal na Mistrzostwach Świata w brydżu sportowym. Wcześniej drużyna na Mistrzostwach Polski dwukrotnie sięgnęła po brąz, pięciokrotnie srebro, a w 2025 roku została złotym medalistą. Również w tym roku zespół zdobył brązowy medal na Mistrzostwach Europy w Pradze.

Grzegorz Głasek został uhonorowany wieloma nagrodami, w tym tytułem *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii: *Lider XXI wieku*, a jego firma SPS Construction otrzymała w październiku 2025 statuetkę *The Best & More*.



W życiu, jak w brydżu...

Poczucie szczęścia daje mu skuteczna realizacja wyznaczonych planów. Rozmowa z Grzegorzem Głaskiem o tym, czy pasja powinna stać się pracą, czy raczej pozostać hobby; o tym, czym dla niego jest patriotyzm; o wierności własnym zasadom i wartościom, takim jak szczerść; a także o istocie małżeństwa, tolerancji i wzajemnym wspieraniu się w związku. Rozmowa dotyczy również tego, jak zostaje się Mistrzem Świata...

Czy z perspektywy czasu uważasz, że dokonałeś słusznego wyboru, zostając inżynierem budowlanym, choć ciągnęło Cię w kierunku sztuki i sportu?

Na pewno podjąłem dobrą decyzję, w czym pomógł mi mój nieżyjący już tata. W klasie maturalnej rozważałem w jakim pójść kierunku, byłem bliski podjęcia studiów na Akademii Wychowania Fizycznego. Rozpatrywałem też kierunek muzyczny, choć byłem w tym względzie za słabo przygotowany merytorycznie. Mój tata powiedział mi tak: synu, skończ takie studia, żebyś na pewno mógł z tego dobrze żyć i żeby twoje pasje nadal nimi były, bo jak wybierzesz zawód związany z twoim upodobaniem, to być może za jakiś czas przestanie sprawiać ci to przyjemność, a będzie jedynie pracą. To mnie przekonało i jestem zadowolony z drogi, którą obrałem. Sportowcem nie mogłbym być przez całe życie. A dziś jestem bardzo blisko sportu, i jako zawodnik brydża sportowego, i jako kibic wszystkich innych dyscyplin, w których Polacy odnoszą sukcesy. Bo ja generalnie kibicuję Polakom, bardziej interesuje mnie mecz Polska – Malta niż Real Madryt – FC Barcelona, choć pod względem piłkarskim ten drugi jest znacznie bardziej atrakcyjny.





Czy to znaczy, że jesteś patriotą?

Myślę, że tak. Ojczyzna dla mnie wiele znaczy. Identyfikuję się z przynależnością narodową. Przebywając zagranicą, chociażby na wakacjach, w jakimś stopniu reprezentuję Polskę, staram się dobrze pokazać jako Polak, zachowywać na określonym poziomie, podkreślać odrębność naszego kraju, naszą kulturę i historię. Myślę, że patriotyzm to również rzetelnie wykonywana praca, stwarzanie miejsc pracy i odpowiednich warunków dla ludzi, uczciwe płacenie podatków. Ale także uczestniczenie w wyborach, posiadanie określonego poglądu politycznego, bo trzeba być aktywnym i mieć swoje zdanie.

Nie myślałeś, żeby startować w wyborach?

Nie, bo traci się przez to prywatność – a tego nie chcę. Trudno by mi też było w imię ducha partii zrezygnować ze swoich wartości, a wiem o tym, że należąc do pewnego rodzaju wspólnoty, jaką jest partia, powinienem niekiedy akceptować wybory partii a nie własne. Nie wyobrażam sobie sytuacji, że np. jako poseł głosuję wbrew swoim ideałom. Jestem osobą społeczną, która działa na bazie swoich doświadczeń, a nie w jakimś szerszym układzie. Niezbyt lubię tych, którzy mają według mnie niewłaściwe poglądy polityczne, ale potrafię ich szanować i tolerować. Natomiast nie szanuję i nie toleruję tych, którzy mówią, że nie idą na wybory, bo ich to nie obchodzi. Braku reakcji, braku jakiegokolwiek stanowiska – bo tak jest wygodnie i nie wchodzi się z nikim w konflikt – nie akceptuję. Wygodnictwo to nie jest bliska mi cecha.

Masz wiele obowiązków, zastanawiam się jak to robisz, że zawsze jesteś punktualny?

Staram się w danej chwili brać na swoje barki tyle, by mieć pewność, że podołam. Punktualność to też szacunek dla innych. Zawsze byłem punktualny, to pewnie też wynika z mojej przeszłości sportowej. Do 38 roku życia grałem w piłkę nożną w drużynie Politechniki Świętokrzyskiej. Treningi zaczynały się o 17.00, więc trzeba było być o 16.40, żeby się przebrać, pobyć trochę w tym towarzystwie, posłuchać trenera.

Czujesz się bardziej związany z Warszawą czy z Kielcami?

Większość dorosłego życia spędziłem w Warszawie, mam tu wielu znajomych, ludzi których lubię i szanuję, ale nie mam z nimi tak bliskich relacji jak z tymi z Kielc, mimo iż wyprowadziłem się stamtąd 30 lat temu. Tam chodziłem do szkoły, tam miałem podwórko, studiowałem, więc tamte znajomości są





Grzegorz Głasek



Grzegorz Głasek, założyciel, współwłaściciel i prezes spółki SPS Construction

silniejsze, bo rozwijały się bezinteresownie. Obecne znajomości mają raczej charakter biznesowy. Bardzo lubię swoich partnerów biznesowych, jednak tylko z kilkoma osobami łączą mnie relacje osobiste.

Skąd wziął się pomysł na brydża i jakie były Twoje największe osiągnięcia?

W lutym 2025 roku wraz z moim teamem klubowym zdobyliśmy brązowy medal na Mistrzostwach Europy w Pradze. Wcześniej siedmiokrotnie zdobywałem medale Mistrzostw Polski, ale medalu na mistrzostwach Europy nawet w najśmielszych marzeniach nie brałem pod uwagę, albowiem startowało prawie 100 najlepszych teamów z Europy zarówno reprezentacyjnych, jak i klubowych. Walka była zażarta, ale udało się osiągnąć wielki sukces.





Dekoracja Mistrzów Świata SPS Construction

Przyznaję, że to był niezwykle szczęśliwy rok dla naszej drużyny. W kwietniu drużyna brydżowa SPS Construction Kielce zwyciężyła w prestiżowym turnieju brydżowym z cyklu Grand Prix Polski Teamów w Lipowym Moście. W drugiej połowie roku zdobyliśmy złoty medal na Mistrzostwach Polski w formule Bam w Rzeszowie, a we wrześniu zostaliśmy Mistrzami Świata – co było oczywiście największym sukcesem naszego zespołu w 15-letniej historii klubu.

W brydża nauczyłem się grać jeszcze w liceum, podczas studiów wykorzystywałem każde okienko wolne od zajęć, graliśmy w „Chlewie” – czyli bufecie studenckim Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Świętokrzyskiej. Reprezentowaliśmy ligę okręgową. Po przeniesieniu się do Warszawy przez kilka lat nie grałem, nie miałem tutaj partnerów. Aż pewnego dnia jeden z kolegów namówił mnie do powrotu, zacząłem brać udział w turniejach, podciągnąłem



Grzegorz Głasek

się sportowo, a potem stworzyłem drużynę ligową. Szybko awansowaliśmy z III do I ligi, a potem do ekstraklasy. Miałem coraz lepszych zawodników. W tej chwili w drużynie mam trzech wielokrotnych mistrzów świata: Jacka Pszczołę, Michała Nowosadzkiego, Krzysztofa Burasa oraz arcymistrzów międzynarodowych: Krzysztofa Kotorowicza, Konrada Araszkiewicza i Piotra Marcinowskiego.

Jak tolerują Waszą pasję partnerki życiowe?

Należy tu rozdzielić zawodowców od amatorów. Nasi zawodowcy dostają za to honoraria, więc zapewne ich partnerki całkowicie to akceptują. Moja żona pewnie wołałaby, żebym częściej był w domu, ale wie, że to jest dla mnie bardzo ważne i nie ogranicza mnie.

Jak długo jesteście razem, za co cenisz żonę i co jest dla Was istotą małżeństwa?

W tym roku obchodziliśmy 30. rocznicę ślubu. Myślę, że tolerancja, spokój i cierpliwość to są podstawowe cechy Ewy. Nie mam podstaw, żeby na cokolwiek narzekać, nie jestem w stanie wskazać żadnego istotnego obszaru, w którym miałbym Ewę skrytykować. Najważniejsze w tym wszystkim jest wzajemne zrozumienie i uszanowanie inności drugiej osoby, akceptowanie chęci życia po swojemu. Wspólnych jest wiele rzeczy, jak np. wychowywanie dzieci, wyjazdy, wyjścia do teatru, podejmowanie gości. Ważne jest, że nikt nikomu nie próbuje narzucić swojej narracji. Jeżeli Ewa ma ochotę chodzić na jogę, to chodzi, jeśli chce uczyć się hiszpańskiego, to uczy się hiszpańskiego, ja nie mówię, że lepszy byłby francuski czy niemiecki, tylko w stu procentach akceptuję to, co robi. Podobnie z tańcem, który nie jest moją pasją, ale nie przeszkadza mi, że Ewa lubi tańczyć i chodzi na zajęcia taneczne. Którekolwiek z nas cokolwiek by nie robiło, druga osoba wspiera go w tych działaniach.

Co to znaczy dla Ciebie, jako autentycznego lidera, oznacza bycie prawdziwym człowiekiem?

Prawdziwy kojarzy mi się ze słowem: naturalny, czyli szczery, prawdomówny, nie udający kogoś innego niż jest. Ja nigdy nie kłamię, a przynajmniej staram się, aby tak było; o pewnych rzeczach po prostu nie mówię albo zastrzegam, że nie mogę czegoś powiedzieć. Bardzo cenię prawdomówność, nie lubię kłamstwa i hipokryzji. Choć mam wiele słabości, na przykład jestem człowiekiem niecierpliwym, raptownym, działającym czasami pod wpływem impulsu. Nie chcę taki być i staram się z tym walczyć, ale jednocześnie akceptuję to, że taki jestem.





Jakie są Twoje największe zalety?

Wydaje mi się, że odpowiedzialność, obowiązkowość, prawdomówność, uczciwość, punktualność, i coś co jest jednocześnie moją silną i słabą stroną czyli bezpośredniość. Bardzo często „mówię prosto w oczy”. Jedni odbierają to pozytywnie, inni bardzo negatywnie. Uważam, że ludziom trzeba mówić prawdę, a ja nie czaruję, tylko mówię, co myślę. Nie zawsze jest to akceptowane.

Jesteś Liderem z powołania, Liderem XXI wieku, zasiadasz w Kapitułę liderów, powiedz kim według Ciebie jest prawdziwy lider?

Na pewno musi mieć silną osobowość i swoje zdanie, ale też brać pod uwagę zdanie innych. Warto wysłuchiwać wszystkich wokół. Nie znaczy to, że ich zdanie ma być później decydujące. Zdarzało mi się zmieniać pierwotną decyzję pod wpływem opinii ludzi, jeśli uznałem ich argumenty za słuszne, ale często też jej nie zmieniałem. Lubię, kiedy mądrzy ludzie wypowiadają się, ale decyzje jednak podejmuję sam. Trudno znać się na wszystkim. Jestem inżynierem budowlanym, ale moi inżynierowie mają większą wiedzę techniczną.

Z których osiągnięć zawodowych na tym etapie życia jesteś najbardziej dumny?

Najbardziej dumny jestem z tego, że firma SPS Construction jest stabilna i nieprzerwanie działa już od 20 lat.

W tej chwili SPS buduje głównie osiedla mieszkaniowe, a ja patrzę na to nie poprzez pryzmat osiągnięć, lecz rzetelnie wykonanej pracy. Z mojej perspektywy każdy budynek jest taki sam, nie oceniam jego piękna, położenia, architektury – bo nie mam na to wpływu. Mam zadanie do wykonania w określonym terminie, określonym budżecie i sprawuję nadzór nad jego realizacją tak, by klient był zadowolony. Nasza rola sprowadza się do wybudowania tego, co zaprojektował architekt, zatwierdził urząd, wymyślił inwestor. Nie mówimy: „dołożymy tu wieżyczkę, to będzie ładniej”, raczej mówimy: „zamieńmy dany materiał na inny, równie dobry, a tańszy”.

Czy zwracacie uwagę także na aspekt ekologiczny?

Też, dzisiaj są takie czasy, że bierze się to mocno pod uwagę. Dbamy o przestrzeganie bhp, o czystość na budowach, utylizację odpadów. Są myjki do samochodów, które kiedyś zabłocone wyjeżdżały na ulicę. Jednak budownictwo nigdy nie będzie w pełni ekologiczne: istnieją tworzywa, przy produkcji których zużywa się wodę, energię i inne zasoby, a w efekcie określone substancje przedostają się do środowiska. Ślad węglowy niestety pozostaje.





Grzegorz Głasek



W tym roku obchodzisz 20-lecie istnienia firmy, ilu pracowników zatrudniasz?

Mamy obecnie 90 pracowników: 78 inżynierów, 4 robotników – tzw. złote ręczki do szybkiego reagowania, a pozostałe osoby to księgowość i administracja. Na budowach pracuje ok. 1000 osób; taką grupą zarządzamy, a w większości są to osoby związane wyłącznie z naszą firmą. We wrześniu celebrowaliśmy jubileusz w pałacu w Łojdach, na który zaprosiłem pracowników.

W Twojej rodzinie tradycje literackie są żywe...

Tak, moja siostra Renata, oprócz tego, że jest teatrologiem z wykształcenia, napisała wiele książek oraz kilka sztuk teatralnych. W naszym domu literatura





zawsze odgrywała ważną rolę – mama Irena była polonistką. Wspólnie z siostrą opracowała pamiętnik mojego dziadka, Michała Jaśnikowskiego. Również mój siostrzeniec Hubert Kęska napisał już kilkanaście bardzo dobrych książek.

Nie porzuciłeś zainteresowań muzycznych, wiem, że Twoim idolem jest Seweryn Krajewski, co Cię w nim pasjonuje?

Wszystko – jego muzyka, łatwość pisania pięknych melodii, fantastyczny głos, świetna gra na instrumentach: gitarze, pianinie i skrzypcach. Uważam, że jest geniuszem. Na jubileuszu zaśpiewałem kilka jego utworów, wykonując je z zespołem mojego przyjaciela Andrzeja Domżoła, muzyka rockowego, którego bardzo cenię za warsztat i lubię za sposób bycia. Oczywiście nie tylko Seweryn jest przeze mnie szanowany jako muzyk. Wymienię tu innych ważnych dla

Ewa i Grzegorz Głaskowie w swojej rezydencji





Andrzej Domżał, Grzegorz Głasek i Anna Wacura – koncert w rezydencji Grzegorza

mnie artystów: Czesława Niemena, Józefa Skrzeka, Jana Borysewicza, Romualda Lipko, Zbigniewa Hołdysa, Krystynę Prońko, a z zagranicy Janis Joplin, Erica Claptona czy Paula McCartneya. Dodam też moją przyjaciółkę Karo Glazer, która w tym roku nagrała płytę w najsłynniejszym studio nagraniowym na świecie – londyńskim Abbey Road Studios.

A czym dla Ciebie jest szczęście?

Spełnieniem planów – nie marzeń, lecz właśnie planów. Wyznaczam sobie drogę i konsekwentnie nią podążam. Jeśli mam jakiś plan, to staram się go realizować. Nie uważam tego za wyczyn, choć daje mi to poczucie satysfakcji.

Jakie masz dalsze plany?

Zawodowo najważniejsze jest dla mnie prowadzenie dobrej i cenionej firmy. Rodzinnie – dobrze wychować swoich synów, Michała i Adama,





oraz pielęgnować poczucie miłości i więzi rodzinnej. Ważne są też dla mnie pasje. Brydżowo chciałbym stale podnosić swoje umiejętności, zdobywać medale w najważniejszych zawodach sportowych i znaleźć się w ścisłej czołówce brydżystów.

Z innych spraw – niedawno opublikowałem zbiór *Anegdot* oraz zbiór wywiadów udzielonych na przestrzeni lat pt. *Spełnić ambicje*. Teraz wydałem *60-latek. Sześćdziesiąt lat minęło, czyli opowieści z życia wzięte*. Mój styl pisania jest nieco sprawozdawczy, więc żona Ewa pracuje nad tym, by dodać mu nieco kolorytu. Siostrzeniec Wiktor Kęska wraz ze swoją partnerką Karoliną Krupińską opracowali bardzo dobre i trafne ilustracje do tej książki. Kolejną pozycją będzie *Mój alfabet*, zacytuję wstęp: „Oddaję w Państwa ręce mój alfabet. W krótki sposób opisuję w nim ludzi, z którymi miałem bezpośredni kontakt. Bohaterami są

Grzegorz Głasek i Karo Glazer z najnowszą płytą Karo





Grzegorz Głasek



Ewa i Grzegorz Głaskowie

”

***Ja nigdy nie kłamię, a przynajmniej staram się, aby tak było;
o pewnych rzeczach po prostu nie mówię albo zastrzegam,
że nie mogę czegoś powiedzieć. Bardzo cenię prawdomówność,
nie lubię kłamstwa i hipokryzji.***

zarówno ci, których wszyscy znają, jak i moi koledzy i przyjaciele, nie zawsze o znanych życiorysach, których w mojej opinii należało wymienić. Starałem się wybierać jedynie pozytywne postacie, dlatego część z was może się czuć zawiedziona, z powodu tego, że nie znalazła się w niniejszej publikacji”. Wśród bohaterów znajdą się takie osoby jak: Aleksander Kwaśniewski, Andrzej Piaseczny, Dariusz Dziekanowski, Irena Szewińska, Ryszard Parulski, Andrzej Supron, Irena Santor czy Jacek Cygan.





Co poradziłbyś młodym ludziom, którzy chcą zostać liderami?

Uważam, że moje pokolenie ludzi urodzonych w latach 60. i 70. miało szczęście, albowiem wtedy, kiedy dojrzewaliśmy, rynek nie był ukształtowany, dominowały przedsiębiorstwa państwowe. Dużo łatwiej było rozpocząć własną działalność. Ci, którzy teraz będą chcieli wejść do biznesu mają znacznie trudniej. Wydaje się, że większą szansę by zrobić prawdziwą karierę daje obszar nowych technologii, gdyż one cały czas się rozwijają. W klasycznych zawodach poradzą sobie jedynie najzdolniejsi, najbardziej pracowici. By zostać liderem trzeba mieć pomysł, trzeba być konsekwentnym w realizacji swoich celów i nie załamywać się przy potknięciach, bo takie na pewno się zdarzą. Nigdy nie jest tak, że ktoś dochodzi do czegoś i po drodze ma same sukcesy. Trzeba mieć mocny charakter i umieć wyciągać wnioski z porażek...





Mirosław Grewiński





Prof. dr hab. Mirosław Grewiński

Prof. dr hab. Mirosław Grewiński – polityk społeczny, rektor Uczelni Korczaka w Warszawie, dwukrotny stypendysta Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Prezes ZG Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej oraz Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Przewodniczy Radzie Pomocy Społecznej przy MRiPS. Pełni funkcję wiceprezesa Komitetu Nauk o Pracy i Polityki Społecznej PAN oraz wiceprzewodniczącego International Janusz Korczak Association.

Jest autorem blisko 300 publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym autorem, współautorem lub redaktorem 50 książek na tematy związane z polityką społeczną. Wykładał na kilkunastu uczelniach w kraju i za granicą. Przeprowadził ponad 500 autorskich szkoleń. Jego zainteresowania koncentrują się wokół transformacji państw opiekuńczych, innowacji społecznych, polityki rynku pracy, integracji społecznej oraz spójności.

Jest także laureatem Programu *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii *Lider XXI wieku*.



Zawsze wiem, czego chcę

Prof. dr hab. Mirosław Grewiński – rektor Uczelni Korczaka, lider o szerokim spektrum zainteresowań i talentów, tym artystycznych: aktorskich, muzycznych (był np. basistą w rockowym w zespołach Houk i Ahimsa), dzieli się refleksjami na temat swojej drogi zawodowej, filozofii zarządzania, roli rodziny, znaczenia empatii w życiu publicznym oraz wizji rozwoju Uczelni Korczaka i Grupy Korczakowskiej. To rozmowa o budowaniu wspólnoty, odpowiedzialnym przywództwie i nieustannej ciekawości świata, ale i o relacjach z rodziną międzynarodową. Jak połączył pasję do muzyki z prowadzeniem własnej firmy, rodziną i działaniami promującymi także innych artystów.

Kto był dla Ciebie wzorem, zanim sam zacząłeś przewodzić innym?

Jestem środkowym dzieckiem w rodzinie. Mam młodszą siostrę, Anię – jest ode mnie młodsza o siedem lat – i starszego brata, Tomika, który wyprzedza mnie o cztery i pół roku. Od mniej więcej 12 roku życia brat był dla mnie wzorcem, kimś, kto wywarł na mnie duży wpływ. Szczególnie mocno odczułem to, gdy zaprosił mnie do zespołu muzycznego, który sam założył. Miałem wtedy szesnaście lat, a on szukał basisty. W końcu stwierdził, że skoro ma młodszego brata, to ten może grać na basie. To wyglądało mniej więcej tak: brat grał na perkusji – więc ja zacząłem grać na basie. Interesował się muzyką





alternatywną – ja również „się wciągnąłem”. Słuchałem punk rocka i hard-core’u. Brat był aktywny w ruchu turystycznym, chodził na wycieczki – więc ja też trochę chodziłem. Wędrowaliśmy po górach, mieliśmy książeczki PTTK, zbieraliśmy punkty i dostawaliśmy odznaki: brązową, srebrną, złotą. Potem przyszło harcerstwo – też było super, nawet współprowadziłem drużynę jako przyboczny. Przez chwilę trenowałem siatkówkę w szkolnym SKS-ie. Wówczas brat był moim drogowskazem. Tata, jako wojskowy, często przebywał poza domem, w różnych garnizonach. Brat częściowo przejął funkcję przewodnika. Wobec młodszej siostry obaj z bratem rozwijaliśmy cechy opiekuncze.

Można powiedzieć, że brat miał naturalne predyspozycje przywódcze. A jak to wyglądało w przypadku siostry?

Brat zdecydowanie miał cechy lidera i nadal je ma. Siostra Ania natomiast jest zupełnie inna – woli działać z drugiego planu, wszystko organizować i spinać. Nigdy nie miała potrzeby przewodzenia czy kierowania. Jest bardzo zorganizowana, skrupulatna, odpowiedzialna i mądra. Pracuje razem z bratem – zajmuje się organizacją biura. Brat prowadzi wytwórnię fonograficzną i agencję menadżerską artystów – Kayax.

Czy Wasze relacje jako rodzeństwa zawsze były zgodne?

Zgodni staliśmy się w momencie, gdy zaczęliśmy razem grać muzykę. Wcześniej się lubiliśmy, ale też często czubiliśmy się – jak to bracia.

Jak wspominasz swoje lata szkolne?

Chodziłem do technikum kolejowego – i szczerze mówiąc, nie był to dla mnie trafiony wybór. Nie miałem predyspozycji o matematyki i fizyki. Ojciec, który miał przeczucie, że światłowody i telekomunikacja będą przyszłością, skierował mnie do klasy o profilu łączności. Nie czułem się tam dobrze. Obowiązkowe mundurki odbierałem jako próbę uniformizacji mojej osobowości. Z drugiej strony trafiłem na znakomitą polonistkę – panią Elżbietę Romańską. Była wymagająca, ale świetnie przygotowała mnie do pisania, czytania i przetwarzania wiedzy. Regularnie pisaliśmy rozprawki, eseje, wypracowania. Maturę zdałem z języka polskiego, obcego i historii – z bardzo dobrym wynikiem – i poszedłem na studia humanistyczne. W technikum zaangażowałem się też w teatr amatorski, prowadzony przez pana Ryszarda Jakubisiaka – twórcę niekomercyjnego Teatru Parabuch, który działa do dziś. Teatr dał mi ogromnie wiele – możliwość kreacji, autokreacji, pracy nad sobą oraz oswojenia się z widownią. Próby odbywały się praktycznie codziennie,





Mirosław Grewiński

wystawiliśmy kilkanaście spektakli, m.in. *Sen nocy letniej*, *Stacja Radość 1*, *Stacja Radość 2*, *Stacja Radość 3* – autorskie dzieła pana Ryszarda Jakubisiaka. W wakacje jeździliśmy po Polsce w specjalnych wagonach doczepianych do składów pociągów. Graliśmy przedstawienia w kolejowych ośrodkach wczasowych – to była fantastyczna przygoda.

Czy występy teatralne przynosiły jakieś dochody?

Nie, to był teatr amatorski, młodzieżowy. W zamian za występy otrzymywaliśmy wyżywienie, nocleg i transport. Dzięki temu zwiedziliśmy całą Polskę. Ale potem muzykowanie w pewnym momencie przyniosło mi dochody. Naszym pierwszym zespołem był zespół Ahimsa. Graliśmy na niezależnej scenie punk-hardcorowej i z czasem staliśmy się rozpoznawalni. W 1993 roku wystąpiliśmy w Jarocinie. Po koncercie podszedł do nas Dariusz Malejonek, lider zespołu Houk, i zaprosił do współpracy cztery osoby z naszego składu. Brat grał na perkusji, ja na basie.

Jak długo trwała Twoja muzyczna przygoda?

Osiem lat. Z Houkiem dwukrotnie byliśmy nominowani do nagrody Fryderyka: w 1994 roku za utwór *Transmission into your heart* i w 1995 za album *Generation X*. Najbardziej znane utwory z tamtego okresu to: *Pieniądz*, *Wstań*, *Woman*, *Żyję w tym mieście*.

Wasz styl życia odbiegał od stereotypu rockmana?

Zdecydowanie. W pierwszych latach byliśmy mocno zideologizowani, również w kontekście ekologii. Wszyscy byliśmy wegetarianami. W tamtym czasie w Polsce popularność zdobywał ruch straight edge, zapoczątkowany przez amerykański zespół Minor Threat. Jego zwolennicy świadomie rezygnowali z używania alkoholu, tytoniu i narkotyków.

Czy już wtedy miałeś ukształtowany system wartości?

System wartości najczęściej wynosi się z domu. W moim przekonaniu w 70 proc. to rodzina kształtuje to, kim jesteśmy, a w 30 proc. – szkoła i środowisko. Choć na pewno środowisko rówieśnicze miało duży wpływ w tamtym, okresie – należeliśmy wówczas do kilku subkultur młodzieżowych.

Czy w domu panowała dyscyplina wojskowa?

Właśnie nie. Tata nie był typowym wojskowym – był raczej humanistą w mundurze. Zawsze zajmował się kulturą, grał na akordeonie, rzeźbił, pisał wiersze. To jemu zawdzięczamy wiele cech miękkich, społecznych. Mama była nauczycielką





Siła marzeń i wartości • Liderzy XXI wieku





i bez wątpienia wyposażała nas w ogromny zasób emocjonalny. Cała nasza trójka – brat, siostra i ja – jesteśmy osobami wrażliwymi, empatycznymi. Empatia to umiejętność dostrzegania emocji innych, rozumienia ich perspektywy. Człowiek wrażliwy potrafi zatrzymać się i pomyśleć, jak druga osoba może się czuć w danej sytuacji.

Z czasem nauka zaczęła Cię bardziej przyciągać?

Tak, zdecydowanie. Byłem zmęczony intensywnym życiem koncertowym – graliśmy niemal co drugi, trzeci dzień – a jednocześnie studiowałem dziennie politykę społeczną na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Na czwartym roku wyjechałem na stypendium naukowe do Niemiec – najpierw na Uniwersytet w Konstancji, później do Drezna.

Gdybyś miał podsumować swoją drogę edukacyjną – które kompetencje okazały się najcenniejsze?

Trudno wskazać jedną – to raczej suma różnych umiejętności i kwalifikacji pozwala mi funkcjonować w rozmaitych sytuacjach. Jeśli chodzi o relacje międzyludzkie, to kluczowe są: komunikacja, inteligencja emocjonalna, empatia, otwartość, umiejętność słuchania. Wszystko to wiąże się u mnie z samodyscypliną. Jestem osobą wewnętrźnie poukładaną – wiem, czego chcę i jakie mam cele. Pracę magisterską poświęciłem funduszom strukturalnym UE, a potem kontynuowałem ten temat w doktoracie pt. *Europejski Fundusz Społeczny jako strukturalny instrument wspierania polityki społecznej Unii Europejskiej – na przykładzie Niemiec*. Habilitację napisałem o wielosektorowej polityce społecznej państw opiekuńczych. Wypracowałem w niej model, który nazwałem „stokrotką dobrobytu”. Płatki stokrotki symbolizują wielosektorowość, czyli przekonanie, że zadania polityki społecznej powinny być rozłożone na różnych interesariuszy, by asekurować ryzyka socjalne. W książce profesorskiej pt. *Usługi społeczne we współczesnej polityce społecznej – przegląd problemów i wizja przyszłości* promowałem model „jaskółki dobrobytu”, który miał symbolizować transformację polityki społecznej – od instytucji do usług świadczonych w środowisku.

Czy wiedza z doktoratu pomogła Ci w pozyskiwaniu funduszy europejskich?

Zdecydowanie tak. Wywodzę się ze środowiska projektowego i grantowego – skoro pisałem rozprawy o funduszach, to naturalnie zacząłem też pisać projekty. Zawsze udawało mi się zdobywać środki, zarówno na własne badania, jak i na rozwój uczelni. Przez wiele lat pełniłem funkcję pełnomocnika rektora ds. pozyskiwania funduszy unijnych. Byłem w tym skuteczny.





”

*Ciągle jestem ciekawy świata i otwarty
na poznawanie i doświadczenie.*

Masz ogromną wiedzę, jak tolerujesz ludzi, którzy mają ledwie jej ułamek?

Nie sędę, bym posiadał jakąś wyjątkową wiedzę. Znam dużo mądrzejszych od siebie. Nauka w ostatnich dekadach mocno skrzyła w stronę specjalizacji. Kiedyś, zwłaszcza wśród humanistów, dominowała wiedza horyzontalna – szeroka, obejmująca wiele dziedzin. Dziś panuje trend, by wszystkich specjalizować. Paradoksalnie mamy coraz więcej osób z tytułami naukowymi, a coraz mniej z rzeczywistą, szeroką wiedzą. Owszem, ta wiedza może być pogłębiona w ramach jednej dziedziny, ale ja nad tym ubolewam – bo to właśnie wieloprofilowość pozwala dostrzegać szerszy obraz. Sam jestem syntetykiem i patrzę na świat z perspektywy makro. Natomiast specjaliści, analitycy skupiają się na jednym, dwóch zagadnieniach w skali mikro. Wyznam zasadę, że mądrość nie musi być z skorelowana ze stopniem naukowym. Znam wielu wspaniałych, mądrych ludzi bez stopni i znam wielu przeciętnych profesorów.

Jak podsumowałbyś swoją drogę zawodową na Uczelni?

Uczelnia istnieje od 33 lat, a ja jestem z nią związany od 26. Przeszedłem całą ścieżkę akademicką – od asystenta, przez adiunkta, kierownika ds. funduszy i studiów podyplomowych, członka różnych komisji, prorektora, aż po obecne stanowisko rektora. To była droga pełna wyzwań, ale też ogromnej satysfakcji. Uczelnia to nie tylko miejsce pracy – to przestrzeń, w której można realnie wpływać na kształtowanie ludzi, idei, wartości. Uczelnia dała mi wolność i możliwość samorozwoju, a dziś jest dla mnie idealnym miejscem pracy.

Czy uważasz, że Uczelnia Korczaka odzwierciedla wyjątkowość filozofii swojego patrona?

Zdecydowanie tak. Tworzymy zgraną, świadomą grupę ludzi, która buduje tę Uczelnię z pasją i zaangażowaniem. Mamy zdroworozsądkowe podejście do wielu spraw, dlatego jesteśmy postrzegani jako przyjazna przestrzeń, zarówno do pracy, jak i do nauki. Fundamentem jest prosta zasada: traktujemy innych tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani. Obecnie zarządzam strategicznie





Mirosław Grewiński





23 podmiotami – to 7 wydziałów Uczelni, 7 szkół średnich i podstawowych, 1 przedszkole, 3 poradnie psychologiczno-pedagogiczne, 2 spółki oraz Fundacja Korczaka. Pełnię również funkcję prezesa ZG Towarzystwa Wiedzy Powszechnej oraz prezesa ZG Towarzystwa Polityki Społecznej. W ostatnich latach udało nam się otworzyć Korczakowskie Szkoły Marzeń w Warszawie, Katowicach i Olsztynie – to szkoły podstawowe i licea, w których promujemy spersonalizowane, indywidualistyczne podejście do ucznia. Chcemy wzmacniać jego podmiotowość, podążać za jego pasjami, emocjami i naturalnym rozwojem. Wkrótce otwieramy własne Uniwersytety III Wieku i kolejne przedszkola. Uczelnia Korczaka od ponad 30 lat specjalizuje się w kształceniu nauczycieli i wychowawców. Naszą najmocniejszą stroną jest pedagogika – oferujemy wszystkie możliwe specjalności: przedszkolną, wczesnoszkolną, ogólną, społeczną i specjalną.

Od ponad 15 lat rozwijamy również kierunki związane z polityką społeczną i pracą socjalną – z sukcesami przygotowujemy kadry do zawodów społecznych. W ostatnich latach dołączyły do nas nowe kierunki: zarządzanie, gdzie kształcimy liderów instytucji publicznych oraz psychologia. Poza Warszawą mamy oddziały zamiejscowe w Katowicach, Lublinie, Szczecinie, Poznaniu, Olsztynie, Siedlcach i Czulchowie. Spójność całej struktury regionalnej opiera się na dorobku Janusza Korczaka – wspólnych wartościach. To, co nas wyróżnia, to odpowiedzialne przywództwo i partycypacyjny model zarządzania, w którym każdy ma wpływ na rozwój Uczelni i całej Grupy. Wokół nas gromadzą się mądrzy, dobrzy ludzie – mam zaszczyt jako rektor z nimi współpracować. Jestem dumny, że mam tak zaangażowanych współpracowników, którzy utożsamiają się z ideami Korczaka. W praktyce jesteśmy jedną wielką korczakowską rodziną, opartą na przyjacielskich relacjach, a nie korporacją, w której dominują procedury i chłodna kalkulacja. U nas liczy się człowiek, jego rozwój, jego godność – tak jak u Korczaka.

Czym się zajmuje Fundacja Korczaka?

Fundacja została powołana dwa lata temu z inicjatywy Uczelni, a pomysł jej utworzenia wyszedł ode mnie. Naszym głównym celem jest niesienie pomocy – mamy ku temu pewne zasoby, wpływy, aktywa, więc chcielibyśmy je dobrze wykorzystać. Obecnie Fundacja realizuje program „Świetliki” – to placówki wychowawcze i socjoterapeutyczne, w których dzieci z mniej zamożnych rodzin mogą spędzać czas po lekcjach. Uczą się tam, integrują, rozwijają swoje pasje i kompetencje społeczne. Na razie mamy kilka takich punktów, ale aktywnie poszukujemy inwestora, który pomógłby nam sfinansować kolejne. Wierzę, że w każdej gminie w Polsce powinien działać taki korczakowski Świetlik – miejsce, które daje dzieciom wsparcie, bezpieczeństwo i przestrzeń do rozwoju.





Mirosław Grewiński

Z czego jesteś najbardziej dumny?

Przede wszystkim z moich Córek. Są wspaniałymi dziewczynami – mądre, wrażliwe, pięknie się rozwijają. Starsza niedawno zdała maturę i zaczyna studia psychologiczne. Młodsza ma 14 lat i również idzie swoją drogą sportową – jest w kadrze Polski juniorów w korfbalu. Jestem też dumny z tego, że to, co sobie kiedyś zaplanowałem zawodowo – udało mi się zrealizować – czyli do 50. urodzin zdobyć tytuł profesora i kierować Uczelnią Korczaka.

Co obecnie sprawia Ci największą radość?

Praca zawodowa jest moją pasją – daje mi poczucie sensu i przestrzeń do działania. Drugą jest rekreacyjnie sport. Lubię jazdę na rowerze, narty, regularnie chodzę na pływalnię. Cenię sobie też kontakt z kulturą – książki, kino, teatr, muzykę. Wakacje najchętniej spędzam nad Bałtykiem, właśnie dlatego, że jest chłodny. Jeżdżę tam regularnie z córkami. Uprawiam też coś, co nazywam turystyką konferencyjną – jeśli jadę na konferencję, zostaję na 2–3 dni dłużej w danym miejscu, żeby zobaczyć tam interesujące miejsca i obiekty. Ostatnio odkryłem np. piękno Salzburga i okolic. Ktoś ważny dla mnie powiedział mi niedawno, że to, co we mnie ceni, to fakt, że ciągle jestem ciekawy świata i otwarty na poznawanie i doświadczanie. I myślę, że to jeden z najważniejszych komplementów, jakie mogłem usłyszeć.

Jakie masz plany i marzenia?

Marzę o tym, żeby Uczelnia Korczaka i cała Grupa Edukacyjna dalej się rozwijała – w różnych częściach Polski, bo widzę, że taka jest potrzeba. Szukamy nawet inwestora żeby przyspieszyć rozwój Grupy. Drugim marzeniem – bardziej systemowym – jest to by w polityce społecznej jako nauce zaproponować własną szkołę myślenia – kontynuując również dorobek mojego Mentora – prof. J. Auleytnera. Dlatego promuję młodych naukowców – dotychczas wypromowałem ponad 300 magistrów i sześciu doktorów, a czterech kolejnych przygotowuję do promocji doktoratów. Zależy mi na rozwoju polityki społecznej jako dyscypliny naukowej bo jest ona niedoceniana przez decydentów a jest bardzo, bardzo potrzebna w czasach niepewności i nowych ryzyk społecznych.







Władysław Grochowski





Władysław Grochowski

Jest właścicielem i prezesem spółki deweloperskiej Arche SA, laureatem tytułu *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii: *Lider XXI wieku*. Będąc wizjonerem, od ponad trzech dekad rozwija największą sieć hoteli w Polsce. Grupa Arche, słynąca z rewitalizacji historycznych oraz postindustrialnych obiektów, tworzy w ten sposób hotele o niepowtarzalnym stylu.

Prezes Arche, przedsiębiorca o duszy artysty i społecznika, jest absolwentem Liceum Plastycznego w Lublinie i Wydziału Operatorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Piastował też stanowisko wójta gminy Trzebieszów. Jego pierwszą inwestycją była budowa Osiedla Królowej Marysieńki w Wilanowie. Działalność hotelarską rozpoczął od budowy w 1998 r. hotelu w Siedlcach. Pierwszym ocalonym obiektem zabytkowym był Pałac w Łochowie, odbudowany w latach 2005–2008. Do zrealizowanych przez niego inwestycji należą m.in. Zamek Janów Podlaski, Hotel Tobacco Łódź czy Cukrownia Żnin. Pozostałe hotele znajdują się w Warszawie (3), Częstochowie, Lublinie, Pile, Wrocławiu (2) oraz Nałęczowie. Inwestycje w przygotowaniu to: Elektrociepłownia Szombierki Bytom, Elektrociepłownia Zabrze, Arche Sanatorium Muszyna, Arche Olejarnia Szczecin, Arche Konstancin Jeziorna, Arche Koszary Białystok. W ramach działalności deweloperskiej Prezes Grochowski wybudował ponad 10 tys. mieszkań. Firma zatrudnia ponad 2000 osób.

Władysław Grochowski wraz z żoną Leną powołał w 2014 roku Fundację Leny Grochowskiej, która zatrudnia osoby z niepełnosprawnościami. Grupa Arche wspiera także innych potrzebujących pomocy: więźniów, uchodźców, bezdomnych, często zapewniając im możliwości pracy oraz lokale mieszkaniowe. Za te wszystkie działania Firma uzyskała w październiku 2025 roku statuetkę *The Best & More*.



Najważniejsze, aby pozostać człowiekiem

Rozmowa z Władysławem Grochowskim, który z jednej strony akceptuje, to co przynosi mu los, a z drugiej kreuje biznes odpowiedzialny społecznie i aktywnie pomaga osobom wykluczonym. Opowiada o ważnych dla niego wartościach oraz o tym jak zachowuje równowagę w życiu. Zdradza także, co jest jego największym marzeniem.

Panie Prezesie, jakie marzenia już Pan spełnił w swoim życiu prywatnym i zawodowym?

Wszystkie moje marzenia dawno temu już się spełniły, oprócz jednego – obawiam się, że nierealnego – żeby na świecie nie było wojen. Największym zrealizowanym marzeniem jest to, że czuję się pożyteczny i potrzebny. Zawsze dążyłem do tego, by nadać sens mojemu życiu i pracy, ale marzenia miałem niewielkie: postawić domek, posadzić trochę drzew. Cieszyłem się tym i sądziłem, że na tym poprzestanę. W tamtych czasach w Polsce panował głęboki komunizm, a posiadanie czegoś własnego oraz bycie niezależnym stanowiło ogromne wyzwanie. Usamodzieliłem się, nie wchodziłem w żadne układy – i to mi zostało na całe życie. Późniejsze wydarzenia bardzo mnie zaskoczyły. Kiedy w 1991 roku założyłem firmę developerską, nie przypuszczałem, że osiągnie ona taki sukces na rynku.

Od początku angażował się też Pan społecznie, w latach 1990–1997 pełnił Pan nieodpłatnie funkcję wójta gminy Trzebieszów...

Tak, to była dla mnie ważna przygoda i doświadczenie.





Siła marzeń i wartości • Liderzy XXI wieku





W 2014 r. wraz z żoną założył Pan Fundację Leny Grochowskiej, która zatrudnia osoby z niepełnosprawnościami i wspiera je w usamodzielnianiu się.

Szczerze mówiąc nie planowałem tego. Ja po prostu wskakuję do pociągu, który odjeżdża albo przyjmuję to, co Opatrzność mi przynosi. Działam intuicyjnie, kieruję się żywymi emocjami – i jak dotąd mnie to nie zawiodło. Najpierw sprowadzaliśmy repatriantów z Kazachstanu, zapewniając im pracę i mieszkania. Pomysł zatrudniania osób z niepełnosprawnościami wyszedł od mojej żony, która wcześniej organizowała dla nich plenery plastyczne. Najpierw powstała pracownia ceramiczna, a dziś mamy także krawiecką, cukierniczą, rzeźbiarską, malarską. Wytwarzane tam produkty trafiają do hoteli, zdobią ich wnętrza, a także są sprzedawane przez internet.

Ile osób z niepełnosprawnościami zatrudniacie?

Okolo stu.

Zapewne dzięki pracy zyskują poczucie własnej wartości?

Dokładnie tak. Tworzą wspólną, solidarną społeczność. Spotykają się, chodzą razem na imprezy i mogą normalnie funkcjonować w społeczeństwie. U nich nie ma udawania ani pozorów – pracują znakomicie, są tak zaangażowani, że można ich tylko podziwiać. Gdy tylko mam czas, spotykam się z nimi. Wczoraj miałem taką okazję i od razu naładowałem się dobrą energią. Dają mi ogrom pozytywnych emocji i szczerości.

Kieruje się Pan w życiu wartościami. Które z nich są dla Pana najistotniejsze?

Najważniejsze jest dla mnie, aby zawsze pozostać człowiekiem – tak, by móc bez wstydu spojrzeć w lustro i spać spokojnie. Ogromne znaczenie ma dla mnie nasza historia i dziedzictwo. Nie pojawiliśmy się nagle, jesteśmy częścią ciągłości. Ważne jest to, co przekazemy kolejnym pokoleniom, to, co po nas pozostanie.

Podkreśla Pan wagę spuścizny, co zapewne wiąże się z tym, że jest Pan artystą – absolwentem Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie oraz Wydziału Operatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi?

Chciałbym, by każdy był w życiu artystą, osobą kreatywną – wtedy świat prezentowałby się znacznie ciekawiej. Każdy nosi w sobie jakiś potencjał, choć czasem się w tym gubi. Wpływ mają na to edukacja, środowisko, układy. Dzieci z natury są twórcze, lecz dorastając, często tracą te zdolności.





Konferencja Grupy Charyzma i Powołanie w hotelu Grupy Arche

Czyli warto zachować w sobie trochę dziecka. A czy zdarzają się sytuacje, w których musi być Pan bardzo dorosły?

Oczywiście. To przede wszystkim kwestia odpowiedzialności. Czuję się odpowiedzialny za ponad dwa tysiące osób, które zatrudniam, i za wiele innych spraw. Przyświeca mi jedenaste przykazanie Mariana Turskiego: „Nie bądź obojętny, kiedy widzisz kłamstwa”, zapisane w jego książce *Nie bądź obojętny*.

Prowadzicie również działania wspierające więźniów.

Tak, w trzech zakładach karnych – w Siedlcach, Warszawie i Łowiczu – prowadzimy oddziały, czyli miejsca pracy. Zatrudniamy tam więźniów długoterminowych, którzy nie mogą opuścić murów więzienia. Zajmują się produkcją i renowacją mebli, materacy oraz dodatków hotelowych. Praca stanowi dla nich najlepszą formę resocjalizacji. Po wyjściu na wolność mają szansę otrzymać mieszkanie





do użytkowania (nie na własność) oraz zatrudnienie. Obecnie pracuje u nas już trzech takich byłych więźniów. Wielu z nich pochodzi z rodzin patologicznych i po opuszczeniu zakładu karnego często wraca do dawnych środowisk. System nie przewidział, co stanie się z nimi po przekroczeniu więziennej bramy. Jeden z naszych pracowników spędził w więzieniu 25 lat – już w szkole podstawowej był uzależniony od alkoholu i nigdy wcześniej nie otrzymał szansy na normalne życie. Zatrudniamy również dziesięć osób bezdomnych, którym zaoferowaliśmy mieszkania. Jestem pod ogromnym wrażeniem ich pracy. Podchodzimy pozytywnie do wszystkich ludzi, którym zdarzyły się błędy. Z doświadczenia wiem, że w każdym człowieku drzemią jakieś wartości, każdy potrafi odróżnić dobro od zła. Wyciągamy rękę do osób wykluczonych i pogubionych. Świat pędzi, a wielu ludzi nie nadąża i łatwo się gubi – mam wrażenie, że w tym pędzie zgubiliśmy gdzieś człowieka. Oprócz pracy zapewniamy osobom bezdomnym opiekę psychologiczną, bo są to ludzie po trudnych przejściach i doświadczeniach. Współpracujemy z firmami szkoleniowymi, ale osobiście bardziej cenię naukę przez doświadczenie. Gotowe rozwiązania – a taka jest obecnie tendencja – nie przywracają człowieka do społeczeństwa. Dlatego zależy mi, aby każdy sam poczuł potrzebę uczenia się, zdobywania nowych umiejętności i odkrył swoją sprawczość.

Jak udaje się Panu łączyć realizację pięknych idei, wspieranie sztuki i działalność społeczną z koniecznością budowania zaplecza finansowego, dzięki któremu Grupa Arche może się rozwijać i budować nowe hotele?

W ponad trzydziestoletniej historii firmy wybudowaliśmy 10 tysięcy mieszkań, wiele osiedli i restauracji. Jednak prawdziwą wizytówką Grupy Arche jest kolekcja rewitalizowanych hoteli historycznych oraz hoteli miejskich. Każdy z nich ma swoją historię i niepowtarzalny styl. Chcemy się tym dzielić z naszymi gośćmi – w niektórych obiektach organizujemy wycieczki z przewodnikiem, podczas których opowiadamy dzieje danego miejsca i pokazujemy mniej oczywiste zakamarki. Lubię wyszukiwać obiekty, które w przeszłości miały znaczenie, a z biegiem lat popadły w ruinę, i przywracać je do życia. Tak było z XIX-wieczną cukrownią w Żninie, przeznaczoną do wyburzenia. W jej unikalnych przestrzeniach stworzyliśmy nowoczesne centrum konferencyjno-wypoczynkowe, gdzie historyczne wnętrza łączą się z nowoczesnym designem. Obecnie realizujemy 14 projektów, w tym aż trzy na Śląsku – w Bytomiu, Zabrze i Siemianowicach Śląskich. Rewitalizujemy Elektrociepłownię Szombierki w Bytomiu, którą planujemy powiązać z Kopalnią Bobrek i przekształcić w centrum kulturotwórcze. „Łączenie sprzeczności” to nasze hasło przewodnie i właśnie jego







realizacją zajmuję się najczęściej. Wkrótce otworzymy Sanatorium Metalowiec w Muszynie. W planach mamy także wymagające i niezwykle ciekawe projekty, takie jak Papiernia Królewska w Konstancinie, Młyn Szancera w Tarnowie, garnizon w Białymstoku, olejarnię w Szczecinie, Młyn Sulisław w Koszalinie, forty w Poznaniu czy hutę szkła w Szklarskiej Porębie. Tych obiektów jest około 50 – część jest już rewitalizowana, część wykupiliśmy, a co do części podpisaliśmy dopiero umowy przedwstępne. Rozwijamy się, bo gdy raz zacznie się coś tworzyć, trudno się zatrzymać.

Dział inwestycyjny Arche rozwija się szczególnie dynamicznie, czy tak?

Zdecydowanie – zabytki nie mogą czekać. Trudne obiekty, zniszczone, zdewastowane, poindustrialne wymagają inwestycji. Rozbudowujemy projektowanie i prefabrykację, stale zastanawiamy się jak usprawnić cały proces. Koncentrujemy się na poszukiwaniu inwestorów, bo wiemy, że na rynku jest bardzo dużo kapitału. Oczywiście zdarzają się nietrafione inwestycje, jednak uważam, że lokowanie środków w nieruchomości, zwłaszcza w zabytki, to bezpieczna forma inwestowania. Ich wartość będzie rosła, bo każdy zabytek jest niepowtarzalny.

Wciąż kontynuujecie ideę Systemu Arche?

Tak, sprzedajemy pokoje hotelowe na własność. Każdy, kto kupi pokój, może spędzać urlop w swoim hotelu, a jednocześnie czerpać zyski z jego wynajmu. To znakomita alternatywa wobec inwestowania w mieszkania czy lokale usługowe na wynajem.

Jeśli klient korzysta z hotelu, w którym standardy są podobne, to indywidualne cechy obiektu zwiększają jego wartość?

Oczywiście – szczególnie dziś, gdy świat tak bardzo się ujednolicił. Inwestor, który przyjeżdża odpoczywać w swoim obiekcie, bardziej o niego dba, czuje się współwłaścicielem i utożsamia z naszymi wartościami. Obecnie mamy około 2000 inwestorów. Dział sprzedaży zajmuje się ich pozyskiwaniem – pracownicy dojeżdżają do potencjalnych klientów, a w przyszłości planujemy utworzyć oddziały w różnych regionach Polski, aby było bliżej. Organizujemy czasem spotkania grupowe, ale najczęściej są to rozmowy indywidualne. Nowi inwestorzy bardzo często pojawiają się z polecenia.

Ile kosztuje zakup jednego pokoju?

To zależy od lokalizacji i wielkości pokoju. Średnio koszt wynosi 300–400 tys. zł. Cena metra kwadratowego pokoju z wykończeniem i wyposażeniem waha się





od 11 do 16 tys. zł. Wiele osób w średnim wieku inwestuje z myślą o zabezpieczeniu emerytalnym – zwłaszcza prowadzący działalność gospodarczą, bo wiadomo, że ich emerytury nie będą wysokie. Inwestują także firmy. Jeśli ktoś dysponuje nadwyżkami finansowymi, ale niewystarczającymi, by zbudować nowy hotel, kupuje u nas kilka pokoi.

Słyszałam, że planujecie współpracę z zagranicą.

Nie wykluczamy takiej współpracy, choć w Polsce mamy wciąż dużo pracy i ogromne potrzeby. Chcemy jednak zaistnieć poza granicami kraju w dziedzinie odnawiania zabytków – to obszar, w którym czujemy się najlepiej. Myślimy o Niemczech, Czechach i Austrii, choć zgłaszają się do nas również Hiszpanie. Jesteśmy na etapie rozpoznawania warunków. Powołaliśmy dział współpracy międzynarodowej, który obecnie koncentruje się na kontaktach z Polonią. Planujemy utworzyć oddział w Chicago. Do Polski przyjeżdżają zarówno emigranci, jak i ich kolejne pokolenia – działa tu pewien rodzaj patriotyzmu. Nie szukają oni hoteli sieciowych, takich jak Marriott czy Hilton, lecz wybierają nasze obiekty. Zależy im na powrocie do źródeł, wspomnień i poznawaniu dziedzictwa. Wiele osób powracających do kraju jest zaskoczonych tym, jak Polska zmieniła się w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Woli Pan, żeby goście przyjeżdżali do Polski, czy raczej, żeby hotele Arche powstawały za granicą?

Bardziej zależy mi na tym, aby zarówno Polonia, jak i obcokrajowcy mogli lepiej poznać Polskę. Mamy naprawdę wiele do pokazania. Fascynuje mnie odnawianie zabytków industrialnych – przez całe lata stały one opuszczone i niszczały. Nasi projektanci i architekci ingerują w nie w minimalnym stopniu, szanując ducha minionej epoki. Znakiem rozpoznawczym Arche są m.in.: Pałac i Folwark w Łochowie, Hotel Koszary w Górze Kalwarii, Hotel Tobacco w Łodzi – laureat nagrody *European Property Awards – Best Hotel Interior Europe*, Zamek Biskupi w Janowie Podlaskim, który w 2018 r. otrzymał Laur Konserwatorski za odrestaurowanie oficyn zamkowych, a także Hotele Puławska Residence i Poloneza w Warszawie, Hotel Arche w Siedlcach i Częstochowie oraz restauracje „Kuchnia za ścianą”, nagrodzone *Food Business Awards 2015*.

Czy, Pana zdaniem, rozwój relacji gospodarczych między państwami może pełnić funkcję prewencyjną i przyczyniać się do utrzymania pokoju na świecie?

Zdecydowanie tak. Współpraca gospodarcza tworzy więzi wykraczające poza granice polityczne i ideologiczne. Jeżeli państwa są ze sobą powiązane ekonomicznie,





Władysław Grochowski



”

*Wszystkie moje marzenia dawno temu już się
spełniły, oprócz jednego – obawiam się,
że nierealnego – żeby na świecie nie było wojen.*

znacznie trudniej im podejmować działania prowadzące do konfliktu. Wspólne interesy sprzyjają dialogowi, budowaniu zaufania i wzajemnemu zrozumieniu. Relacje gospodarcze mogą stać się jednym z najskuteczniejszych narzędzi stabilizacji i utrwalania pokoju.

W jaki sposób spędza Pan wolny czas?

Relaksuję się jeżdżąc na rowerze. Dziś będę pracował fizycznie – bo sprawia mi to przyjemność. Prowadzę ponad 30-hektarowe gospodarstwo z dużym ogrodem i sadem. Moi rodzice zajmowali się rolnictwem, a ja świetnie wypoczywam, pracując na roli.

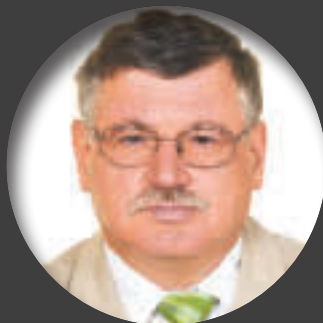






Tomasz Jagodziński





Tomasz Jagodziński

Człowiek wszechstronny; był piłkarzem,
pracował w kopalni Bełchatów jako elektromonter.

Po ukończeniu dziennikarstwa na Uniwersytecie

Warszawskim pracował w zawodzie,

m.in. dla „Przeglądu Sportowego”, współpracował

z magazynem „Sport Review” z Chicago,

oraz ze stacjami radiowymi, m.in. Programem

3 Polskiego Radia. Był także wiceprezesem

Radia Katowice oraz rzecznikiem prasowym Polskiego

Związku Piłki Nożnej. Pełnił przez 13 lat funkcję

dyrektora Muzeum Sportu i Turystyki.

Jest autorem książki *Cwaniaczku, nie podskakuj*.

Po przejściu na emeryturę objął stanowisko

wicedyrektora Muzeum Niepodległości, a następnie

kuratora Galerii Brama Bielańska – działającej

w X Pawilonie Cytadeli. W 2022 roku założył

Fundację Mistrzowie Sportu.

W październiku 2025 roku został nagrodzony

tytułem *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej

kategorii *Lider XXI wieku*.



Z Bełchatowa na Kapitol, z kopalni do senatu

Tomasz Jagodziński, zwany „Imadło” – ze względu na mocny uścisk dłoni, opowiada o swojej drodze z kopalni węgla brunatnego do świata mediów, polityki i muzealnictwa.

Wspomina kulisy pracy dziennikarskiej, spotkanie z prezydentem USA, kampanię wyborczą w Illinois oraz własną, kiedy to został senatorem w wieku 33 lat, a także wyjaśnia, dlaczego Polska – mimo odwiedzenia 103 krajów – pozostaje dla niego najcudowniejszym miejscem na ziemi.

To opowieść o konsekwencji, odwadze i nieustannej ciekawości świata.

Niedawno zrezygnowałeś ze stanowiska wicedyrektora Muzeum Niepodległości, przechodząc na zasłużoną emeryturę.

Muzeum Niepodległości to instytucja o wyjątkowym charakterze. Warto wiedzieć, że oprócz siedziby głównej mieszczącej się w Pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów, w jego strukturze funkcjonują także oddziały: X Pawilon Cytadeli Warszawskiej, Muzeum Więzienia Pawiak, Mauzoleum na Szucho i otwarte w sierpniu dwa lata temu Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Radzyminie. Sam przeszedłem na emeryturę niespełna rok temu, jednak zgodziłem się nadal wspierać działalność Muzeum, dzieląc się swoim wieloletnim doświadczeniem jako kurator Galerii Brama Bielańska – działającej właśnie w X Pawilonie Cytadeli.



Księżna Monako Charlene Grimaldi w MSiT. 17 października 2012 r. Od lewej: Andrzej Kraśnicki prezes PKOl, Pierwsza Dama RP Anna Komorowska, Irena Szewińska, Księżna Charlene Grimaldi, Tomasz Jagodziński dyrektor MSiT

fot. Paweł Oprządek

Skąd zainteresowanie muzealnictwem, skoro Twoją największą pasją jest sport?

Przez 13 lat pełniłem funkcję dyrektora Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie – jednej z najstarszych placówek muzealnych o profilu sportowym na świecie. W czasie mojej kadencji stało się ono jedną z wiodących instytucji tego typu, nie tylko w Polsce, ale i na arenie międzynarodowej. Dzięki osiągnięciom zostało włączone przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski do prestiżowej sieci Olympic Museums Network, zrzeszającej zaledwie 22 placówki z całego świata. Jej centrala mieści się w siedzibie MKO w Lozannie. Przez wiele lat





aktywnie uczestniczyłem w spotkaniach roboczych poświęconych rozwojowi muzealnictwa sportowego – zarówno w Lozannie, jak i w innych krajach. W 2012 r., gdy Polska była gospodarzem mistrzostw Europy w piłce nożnej, miałem zaszczyt gościć w Warszawie dyrektorów muzeów sportu z całego świata.

Zatem Muzeum Sportu było połączeniem Twoich pasji – sportu, dziennikarstwa sportowego i muzealnictwa?

Zgadza się. Naturalną konsekwencją pełnienia funkcji dyrektora przez 13 lat było to, że z czasem stałem się muzealnikiem z prawdziwego zdarzenia.

Gdy grałeś w piłkę nożną przypuszczałeś, że zostaniesz muzealnikiem?

Ależ skąd! Przez kilka sezonów byłem juniorem klubu Skra Bełchatów. Zdobiliśmy mistrzostwo województwa łódzkiego w kategorii juniorów do lat 18. Później Skra zmieniła nazwę na Węgiel Brunatny Bełchatów. Od dzieciństwa byłem bardzo ciekawy świata i marzyłem o zawodzie dziennikarza. Moja pierwsza przygoda z telewizją miała miejsce, gdy jako uczeń II klasy technikum wieczorowego dla pracujących zgłosiłem się do programu TVP 2 „Turniej marzeń”. Miałem wtedy 22 lata i przez kilkanaście minut byłem bohaterem „Studia 2”. Rozmawiałem z legendarnym komentatorem Bohdanem Tomaszewskim. Na antenie przekonywałem go, że gdy skończy karierę, to godnie go zastąpię. Okazuje się, że jak ktoś jest uparty, ambitny i wytyczy sobie cel, to marzenia naprawdę się spełniają. Przed technikum skończyłem Zasadniczą Szkołę Zawodową i pracowałem jako elektromonter w Kopalni Węgla Brunatnego w Bełchatowie, gdzie spędziłem siedem lat. W 1981 roku zdałem maturę i pojechałem do Warszawy, by studiować na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. To był wówczas elitarny kierunek – na jedno miejsce przypadało 6 osób. Na korytarzach widziałem wiele znanych z telewizji twarzy, to byli rodzice niektórych kandydatów. Udało mi się zdać z bardzo dobrym wynikiem, a dodatkowe punkty zapewniło mi robotnicze pochodzenie, które w tamtych czasach premiowano.

Dla jakich mediów pracowałeś jako dziennikarz?

Pracowałem w wielu redakcjach. Na początku współpracowałem z Programem 3 Polskiego Radia w kultowej audycji „Zapraszamy do Trójki”. Poznałem wtedy Wojciecha Manna, Piotra Kaczkowskiego, Marka Niedźwiedzkiego, Katarzynę Dowbor, Janusza Atlasa, Monikę Olejnik i wielu innych – z którymi pracowałem w tej samej redakcji. Uczyłem się od nich dziennikarstwa





Bruce Willis w Muzeum Sportu i Turystyki



Wpis do książki pamiątkowej



radiowego, choć różnie mi to wychodziło. W tamtych czasach trzeba było samodzielnie montować taśmy – przycinać je żyłką i sklejać. Często się kaleczyłem, więc zrezygnowałem z radia i podjąłem pracę w „Przeglądzie Sportowym”, gdzie zostałem na długie 13 lat. Byłem reporterem działu piłkarskiego i specjalizowałem się w opisywaniu afer i skandali w polskim sporcie – nie tylko w piłce nożnej. Równocześnie pisałem jako korespondent do amerykańskiego tygodnika „Sport Review”. Początkowo przedrukowywali moje teksty z „Przeglądu” bez mojej wiedzy i zgody, ale gdy się o tym dowiedziałem – zgłosiłem chęć współpracy.

Pisałeś w języku angielskim?

Nie, pisałem po polsku – to było polonijne wydawnictwo. Angielskiego uczyłem się wielokrotnie, ale nigdy nie opanowałem go perfekcyjnie. Dopiero gdy zacząłem wyjeżdżać za granicę i praktykować, mój poziom się podniósł. W szkole uczyłem się rosyjskiego, który często przydawał mi się w podróżach. Między innymi w 2014 roku uczestniczyłem w igrzyskach w Soczi, a także miałem okazję zwiedzić Kreml. Dzięki koleżankom z Muzeum z Moskwy mogłem poznać to wyjątkowe miejsce. Wracając do okresu dziennikarskiego – w redakcji „Przeglądu Sportowego” byłem jednym z najaktywniejszych reporterów. Dużo pisałem, a moja miesięczna pensja wynosiła wówczas w przeliczeniu około 25 dolarów. Gdy rozpocząłem współpracę z magazynem „Sport Review” z Chicago, za jeden felieton o długości półtorej strony otrzymywałem 40 dolarów, a miesięcznie pisałem ich cztery. Poczułem się wtedy jak krezus. To były dziwne czasy – pracowałem coraz więcej, a moje długi rosły. Miałem już rodzinę, dziecko. Pomyślałem, że coś jest nie tak i wyjechałem na dwa miesiące do Niemiec, gdzie pracowałem „na czarno” jako pomocnik tynkarza. Jednego dnia zarabiałem więcej niż przez miesiąc w „Przeglądzie Sportowym”. Po tylu latach opisywania sportu – który przecież uwielbiałem – głównie w negatywnym kontekście, zaczęło mnie to męczyć. Postanowiłem coś zmienić w swoim życiu i wyjechałem na rok do Stanów Zjednoczonych.

Co tam robiłeś?

Zostałem reporterem polonijnego tygodnika „Alfa” w Chicago. Miał on szeroki zasięg – trafiał do Polonii w USA, Kanadzie, a nawet w Niemczech. Równocześnie przyglądałem się kampanii wyborczej na gubernatora stanu Illinois. Obserwowałem, jak Jim Edgar wchodził w tłum, witał się z ludźmi, fotografował, z każdym rozmawiał. Kibicowałem mu i nawet się z nim zaprzyjaźniłem. Chodziłem co tydzień na jego spotkania wyborcze, a na jednym z nich miałem





okazję przywitać się z prezydentem Georgem Bushem seniorem. Jako że słynę z solidnego uścisku dłoni – i z tego powodu od ponad 40 lat noszę ksywę „Imadło” – to przywitanie zostało zapamiętane. Mój „serdeczny” uścisk ręki prezydenta USA spowodował gwałtowną reakcję jego licznej ochrony. Zostałem błyskawicznie odepchnięty...

Nie chciałeś zostać w USA na stałe?

To nie jest kraj do życia, przynajmniej dla mnie. Ameryka zachwyca krajozrazami i przyrodą, ale miasta są brudne i niebezpieczne. Nie odpowiada mi tamtejszy system, ustrój ani mentalność ludzi. Za każdym razem, gdy muszę tam jechać ponownie, traktuję to jak karę. Jako obywatel, który odwiedził już 103 kraje – w tym wiele egzotycznych, jak francuskie terytorium zamorskie Nowa Kaledonia czy Vanuatu – z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że Polska jest najwspanialszym miejscem pod każdym względem.

Kiedy wróciłeś do Polski?

W 1991 roku. Wtedy postanowiłem, że zostanę posłem. Od osób pracujących w sztabie wyborczym Jima Edgara dowiedziałem się, jak organizować kampanię wyborczą. Zdobyte doświadczenia chciałem wykorzystać w zmieniającej się Polsce. Szybko okazało się jednak, że nie mogę kandydować do Sejmu jako pojedyncza osoba niezależna – trzeba było należeć do partii lub założyć ogólnopolski komitet wyborczy. Byłem sfrustrowany. W tym czasie, jako korespondent tygodnika „Alfa” w Polsce, uczestniczyłem w zagranicznych wyjazdach prezydenta Lecha Wałęsy. Dzięki temu byłem gościem Kapitolu i Białego Domu. Brałem nawet udział w bankiecie w Białym Domu na cześć prezydenta RP. Oficjalnie zaproszono tylko pięciu dziennikarzy z Polski, a mnie na liście nie było. Poszedłem więc do starszej pani, którą żartobliwie nazywano „Babcią w kapciach”, obsługującej akredytowanych korespondentów zagranicznych, i poprosiłem o możliwość wejścia na bankiet. Zgodziła się! Najpierw trafiłem do pokoju prasowego, gdzie musiałem przeczekać dwie godziny. Zorientowałem się, że stamtąd można zadzwonić w dowolne miejsce na świecie i oczywiście z tego skorzystałem. Do dziś niektórzy, do których się dodzwoniłem, nie wierzą, że telefonowałem do nich z Białego Domu.

Kiedy wpadłeś na pomysł, żeby kandydować do Parlamentu?

Pewnego razu, razem z Mikołajem Kozakiewiczem – ówczesnym marszałkiem Sejmu – czekaliśmy na lotnisku w Warszawie na przylot prezydenta Wałęsy. Narzekałem, że nie mam szans wygrać wyborów do Sejmu. A on na to: „W takim





Thomas Bach – przewodniczący MKOl w Muzeum Sportu i Turystyki, 19 lipca 2017 r.

razie kandyduj do Senatu – tam obowiązuje ordynacja większościowa. Jeśli jesteś tak pewny siebie i potrafisz przekonać ludzi, to na ciebie zagłosują”. Mikołaj zaskoczył mnie, wtedy miałem 33 lata i wydawało mi się, że do Senatu kandydują tylko osoby po siedemdziesiątce. Prosto z lotniska pojechałem na Aleje Szucha, gdzie przy Kancelarii Premiera mieścił się punkt sprzedaży druków urzędowych. Kupiłem ordynację wyborczą do Sejmu i Senatu i od razu ją przeczytałem. Przeprowadziłem bardzo solidną kampanię. Pomógł mi Władysław Komar – mistrz olimpijski w pchnięciu kulą z Igrzysk w Monachium. Przyjeżdżał na moje spotkania, zjednywał sobie ludzi i przekonywał ich do poparcia mojej kandydatury. Kiedy jednak stanąłem przed tłumem, musiałem się przełamać, by wejść między zgromadzonych i udowodnić, że jestem najlepszym kandydatem. W pierwszej kadencji wygrywali ci, którzy fotografowali się z Lechem Wałęsą, a ja fotografowałem się z gwiazdami polskiego sportu. Byłem jednym z pierwszych, którzy prowadzili bezpośrednią kampanię, wchodziłem w tłum i rozmawiałem z ludźmi twarzą w twarz. To zadziałało! Wygrałem w województwie piotrkowskim i zostałem Senatoren RP. Jako jeden z najmłodszych parlamentarzystów pełniłem funkcję sekretarza Senatu. Tak rozpoczęła się moja przygoda z wielką polityką.





Tomasz Jagodziński – dyrektor MSiT
i Krzysztof Cugowski, MSiT, 12 marca 2013 r.



Alicja Węgorzewska i Tomasz Jagodziński –
dyrektor MSiT, MSiT, 23 maja 2013 r.

Ale ze sportem nie zerwałś...

Niezupełnie. Na pożegnanie z „Przeglądem Sportowym”, już jako senator, wydałem książkę *Cwaniaczkę, nie podskakuj*, poświęconej aferom w polskiej piłce nożnej. Do dziś nie straciła na aktualności. Można powiedzieć, że byłem pierwszym dziennikarzem śledczym, zanim to pojęcie na dobre zagościło w polskich mediach. Po zakończeniu pracy w Senacie trafiłem do zupełnie innego środowiska – wygrałem konkurs i zostałem wiceprezesem Polskiego Radia Katowice. Ponieważ jest tam studio koncertowe, w którym odbywały się różnego rodzaju wydarzenia kulturalne i spotkania z artystami, poznałem wiele wybitnych osobowości, m.in. Waldemara Malickiego, Andrzeja Dąbrowskiego czy Zbigniewa Wodeckiego. Ta praca dawała mi ogromną radość i bardzo miło wspominam cztery lata, spędzone w Radiu Katowice.

Czy angażowałeś się w działania społeczne?

Oczywiście. Pełniąc różne funkcje zawodowe, aktywnie udzielałem się społecznie – współpracowałem z wieloma fundacjami i wspierałem różne instytucje. Obecnie nie podejmuję już tylu inicjatyw, ponieważ kieruję się zasadą, że jeśli coś robię, to tak, by nikt nie musiał tego poprawiać. Dziś mam inne wyzwania. Od roku jestem prezesem Fundacji Mistrzowie Sportu. Jej celem jest przypominanie o największych sukcesach polskiego sportu i olimpizmu oraz utrwalanie pamięci o bohaterach – zarówno tych sprzed wojny, jak





Tomasz Jagodziński



Tomasz Jagodziński i Robert Lewandowski



Tomasz Jagodziński, Martyna Wojciechowska i Robert Lewandowski





Siła marzeń i wartości • Liderzy XXI wieku



Andreas Küttel
– szwajcarski
skoczek narciarski
Andreas Küttel
składa wpis
w księdze
pamiątkowej,
z lewej Tomasz
Jagodziński –
dyrektor MSiT.
MSiT, 24 lipca
2013 r.



Tomasz Jagodziński
– dyrektor MSiT
i Renata Mauer,
MSiT, 12 kwietnia
2010 r.





Tomasz Jagodziński – dyrektor MSiT i Irena Szewińska, XIV Światowe Targi Kolekcjonerów Olimpijskich, 29 maja 2009 r.

i współczesnych. Zauważyłem, że starsi mistrzowie nie znają osiągnięć młodych, a młodzi nie znają historii polskiego sportu. Dlatego ostatnio wydaliśmy serię banknotów kolekcjonerskich z wizerunkami mistrzów olimpijskich: zdobywców dwóch pierwszych Złotych Medali dla Polski – Haliny Konopackiej i Janusza Kusocińskiego. W planach mamy kolejne emisje.

Z jakich osiągnięć jesteś najbardziej dumny?

Przede wszystkim z tego, że jako chłopak ze wsi – przez pierwsze dziesięć lat mieszkałem w Kurnosie pod Bełchatowem – udało mi się zrobić międzynarodową karierę. Byłem uczestnikiem dziesięciu igrzysk olimpijskich: Atlanta'96, Sidney'2000, Ateny'2004, Turyn'2006, Vancouver'2010, Londyn'2012, Soczi'2014, Rio de Janeiro'2016, Pjong Czang'2018 i Paryż'2024. Byłem także, razem z Ireną Szewińską, na otwarciu Memoriału Juana Antonio Samarancha w Tianjin w Chinach. Jestem dumny z tego, że mogłem spotkać i poznać tak wiele wybitnych osobistości ze świata sportu, polityki i kultury – chociażby Bruce'a Willisa, księżnę Monako Charlene Grimaldi i jej męża





19 września 2011 r. In memoriam polskim olimpijczykom zamordowanym w Katyniu. Od lewej: Tomasz Jagodziński – dyrektor MSiT i Kardynał Józef



Od lewej: Tomasz Jagodziński – MSiT, Adam Struzik – Marszałek Województwa Mazowieckiego oraz Tomasz Majewski, Konferencja prasowa „Mazowsze dla Syrii”, 15 stycznia 2018 r.





Tomasz Jagodziński

Tomasz Jagodziński
- dyrektor MSiT,
Wicepremier
Waldemar Pawlak
i Władysław
Kozakiewicz,
w MSiT,
04 września 2011 r.



Tomasz
Jagodziński -
dyrektor MSiT
i Leszek Miller,
MSiT, 9 lipca
2013 r.

Tomasz Jagodziński
- dyrektor MSiT
wręcza Prezydentowi
Bronisławowi
Komorowskiemu
pamiątkową
fotografię, MSiT,
07 grudnia 2011 r.





”

Warto być dobrym i przyzwoitym człowiekiem, bo dobro wraca. Pomaganie mam we krwi – tak zostałem wychowany w domu rodzinnym. Uczono mnie, że z ludźmi trzeba żyć w zgodzie i pomagać im, jeśli tylko można.

księcia Alberta II, a także prezydentów Światowej Federacji Piłkarskiej: nieżyjącego już, João Havelange’a oraz Josepha Blattera. Z częścią z nich utrzymuję przyjacielskie relacje.

Bo jesteś życzliwym, przyzwoitym człowiekiem.

Warto być dobrym i przyzwoitym człowiekiem, bo dobro wraca. Pomaganie mam we krwi – tak zostałem wychowany w domu rodzinnym. Uczono mnie, że z ludźmi trzeba żyć w zgodzie i pomagać im, jeśli tylko można. Wspierałem wielu ludzi, starałem się nikomu nie szkodzić i pokazywać, że mam klasę. Nawet kilka osób mi to powiedziało – i to dla mnie największe uznanie.





Gdzie poznałeś żonę?

Dorotkę poznałem w Warszawie – w jej domu. Mój kolega był korespondentem gazety „Sport Katowicki”, a jego narzeczona studiowała z Dorotką prawo administracyjne we Wrocławiu. Gdy przyjechali do Warszawy, zaprosili mnie na spotkanie. 2 sierpnia minęło 39 lat, odkąd jesteśmy małżeństwem. Mamy dwoje dzieci i wnuka Oskara. Córka Alicja pracuje w firmie zajmującej się dystrybucją zagranicznych filmów w Polsce, a syn Tomasz Mikołaj – w Urzędzie Marszałkowskim. Żona nie pracowała zawodowo – zajmowała się wychowywaniem dzieci. Interesuje się medycyną naturalną i dzięki swojej wiedzy wyleczyła syna z alergii wywołanej stosowaniem sterydów. Specjalizuje się też w produkcji leczniczych nalewek.

W jaki sposób spędzasz wolne chwile?

Lubię być sam ze sobą – oglądam telewizję, kontempluję. Jestem miłośnikiem i znawcą whisky. Te naprawdę wartościowe, przekraczające cenę 300 dolarów, traktuję niemal jak lekarstwo. Nie powinno się ich pić z lodem – wystarczy kropla wody, by przełamać smak i wydobyć pełnię aromatu.

Jakie masz plany?

W niedalekiej przyszłości chcę wrócić na wieś, szukam odpowiedniego miejsca na siedlisko. Marzy mi się drewniany dom z bali, położony pod lasem, z tarasem i kominkiem. Na tym tarasie będę siedział i pisał książki. Na pewno jedna z nich będzie miała charakter autobiograficzny, coś w rodzaju „Alfabetu Jagody” – ponieważ przeżyłem mnóstwo sympatycznych, barwnych sytuacji, zarówno z udziałem przywódców państw, jak i sportowców. Z okresu pracy w kopalni mam również wiele ciekawych, obrazowych wspomnień. Wymyśliłem też fabułę kryminału. Główny bohater, major milicji Antoni Maszewski, będzie prowadził śledztwo w sprawie morderstwa siedmiu osób, zabitych w okolicach kopalni węgla brunatnego. Akcja zostanie osadzona w realiach PRL-u, z intrygą szpiegowską w tle. Postać Maszewskiego wzorowana jest na prawdziwej osobie – kuzynie mojej mamy, lekkoatletce i olimpijczyku z igrzysk w Berlinie w 1936 roku. W najbliższym czasie planuję podróż do państw, w których jeszcze nie byłem. Myślę o Maroku, Albanii, Gruzji i Armenii.







Krzysztof Kobyliński





Krzysztof Kobyliński

Twórca ponad 30 albumów z muzyką jazzową, ethno, neoklasyczną i elektroniczną. Uznany na świecie pianista, kompozytor i wizjoner. Krzysztof Kobyliński to nie tylko charyzmatyczny artysta, lecz także architekt jazzowej kultury, który zamienił Gliwice w tętniące dźwiękami centrum świata. Jest założycielem i liderem zespołu KK Pearls, twórcą i dyrektorem artystycznym gliwickiego Centrum Kultury Jazovia, a także festiwalu Palm Jazz i Filharmonia – w tym roku odbyła się już 17 edycja festiwalu. Posiada salę koncertową na 220 osób, ze znakomitą akustyką, zlokalizowaną na gliwickim rynku. Stara się wykonywać wyłącznie własne kompozycje. 24 października tego roku Mistrz zachwycił swoim występem publiczność podczas Międzynarodowego Kongresu Grupy Charyzma i Powołanie w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Krzysztof Kobyliński jest także prezesem spółki HH Poland, zajmującej się produkcją i dystrybucją interaktywnych i edukacyjnych zabawek. Został uhonorowany tytułem *Lidera z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii: *Lider XXI wieku*.



Liczby kontra emocje anioł czy diabeł?

Rozmowa z Krzysztofem Kobylińskim o tym, jak został pianistą i kompozytorem o międzynarodowej renomie.

O tym, jak połączył pasję do sztuki z prowadzeniem własnej firmy, życiem rodzinnym i działaniami promującymi innych artystów. W wywiadzie odsłania kulisy nie tyle dochodzenia do doskonałości, ile poszukiwania własnej tożsamości poprzez dźwięki...

Rzadko spotykamy twórcę, który z taką konsekwencją łączy działalność artystyczną z biznesową. Koncertujesz, promujesz artystów jazzowych, jesteś właścicielem i prezesem spółki HH Poland, dystrybuującej i produkującej zabawki interaktywne i edukacyjne. Jak udaje Ci się pogodzić te wszystkie obowiązki?

Z powodzeniem działałam w biznesie od lat, przeczytałam 50 kilo książek o zarządzaniu, a moja firma była swego czasu największą w Polsce w branży zabawkarskiej. Pracowałam po kilkanaście godzin dziennie, ale gdy wszystko zaczęło działać, a moja codzienna praca nie zajmowała więcej niż godzinę, stwierdziłam, że warto wrócić do tego, co było wcześniej. Dziś zarządzaniem spółką zajmuje się mój syn.





Co sprawiło, że po kilkunastu latach wróciłeś do muzyki?

Muzyka ze mną była zawsze. Zachorowałem na nią w wieku 15 lat – wtedy skomponowałem swój pierwszy utwór. Chodziłem do liceum w Gliwicach, mieliśmy niezwykle ciekawą grupę rówieśniczą. Nigdy przedtem i nigdy potem nie zetknąłem się z tak inspirującym środowiskiem. Jednym z moich kolegów był Andrzej Blumenfeld – dziś już nieżyjący aktor, od którego przejąłem wiele z „odnogi” kulturalnej. U mnie dominowała „odnoga” przetrwania, bo nie było łatwo finansowo, choć pół pomidora miłości człowiek zawsze dostał. W tamtym czasie interesowałem się matematyką. Owszem, występowałem na akademiach i śpiewałem, ale czułem się przede wszystkim matematykiem. Zresztą – do dziś tak jest. Uwielbiam matematykę, uważam, że może być doskonałym centrum życia. Jej zaletą jest absolutna czystość – nie można powiedzieć, że 3 plus 4 nie równa się 7. To zawsze będzie 7. Nie istnieje inna dziedzina życia o takiej





klarowności. Wszystko, co zostaje sfalsyfikowane przez emocje, z natury rzeczy nie jest obiektywnie prawdziwe. Emocje walczą ze sobą, mijają się albo się łączą. Matematyka to zupełnie coś innego. Jej prostota jest niesamowita – to nieustanne przechodzenie od jednego prostego pojęcia do kolejnego. Przejście od punktu A do punktów B i C może wydawać się nieoczywiste, bo z perspektywy punktu A nie widać jeszcze związku z B. Tak narodziła się teoria Einsteina – to on jako pierwszy dostrzegł te zależności.

A symfonie?

Powstają podobnie, choć jest więcej emocji. Zauważyłem u wielkich muzyków, że ich improwizacje są konsekwentne. Piękno nie tkwi w konsekwencji, ale konsekwencja jest bazą piękna. Liść nie może rosnąć w oderwaniu od łodygi. Wróć do mojej historii: w dzieciństwie przez 6 lat chodziłem do szkoły muzycznej, ale rzuciłem ją, bo nauczyciele mnie zniechęcili – nie potrafili przekazać pasji. Grałem jednak w domu wszystko, co usłyszałem w radio i co mi się podobało. Zauważyłem, że robi to wrażenie na innych. Studiowałem informatykę, ale nieustannie walczyłem, żeby wyjść z niskiego poziomu wykształcenia muzycznego. Doszedłem do wniosku, że ćwiczyć jednak trzeba – i ćwiczyłem. Próbowałem własnych gam, własnych melodii, własnego podejścia. Sam wypracowałem swój system, nie podążałem utartymi ścieżkami. Kluczowe było przepracowanie swojego mentalu, poukładanie w głowie, by potem grać siebie. Podczas studiów wziąłem udział w jazzowym festiwalu pianistycznym i zostałem jego laureatem. Założyłem zespół jazzowo-rockowy, który przetrwał dwa lata. Potem zainteresowała mnie muzyka elektroniczna, równolegle dołączyłem do zespołu Kapitan Nemo – ale z tego nie dało się utrzymać, więc udzielałem korepetycji z matematyki. W wyniku młodzieńczych błędów straciłem pieniądze i instrumenty, więc zmuszony zostałem zająć się biznesem. W 1990 roku założyłem firmę i odnieśliśmy sukces. Powrót po latach do sztuki zacząłem od stworzenia zaplecza do tworzenia muzyki. Najpierw założyłem zespół, KK Pearls to znakomity międzynarodowy skład: Dima Gorelik, Edi Sanchez, a wokalistką jest izraelska śpiewaczka operowa Reut Rivka, która potrafi odnaleźć się każdym repertuarze. Okazyjnie kupiliśmy kamienicę w Gliwicach i gdy nie bardzo było wiadomo co z nią zrobić, wyburzyliśmy ścianki działowe na strychu. Okazało się, że pomieszczenie ma wybitną akustykę. Tak powstała sala koncertowa na 220 osób, z najlepszą na świecie konsolą i świetnym fortepianem marki Steinway. Otworzyliśmy ją w 2013 roku. Zbudowaliśmy studio, stworzyliśmy Centrum Kultury, gdzie organizujemy festiwale. Gdy w końcu poczułem, że mam wszystko, czego potrzebuję – zająłem się już głównie muzyką.





Siła marzeń i wartości • Liderzy XXI wieku





Dziś – jako laureat międzynarodowych konkursów fortepianowych i kompozytorskich – koncertujesz na całym świecie.

Tak się ułożyło, że najczęściej gram za granicą: we Francji, Anglii, Hiszpanii, Włoszech, Szwecji, Czechach, Słowacji, Austrii, Niemczech, Litwie. Kilka lat temu grałem w Kanadzie – wracam tam w 2027 roku. Występowałem w Korei Południowej i zapewne też tam wrócę. W listopadzie – jeśli będzie bezpiecznie – wybieram się z austriackimi muzykami do Pakistanu. Islamabad jest spokojny, ale przejazd do innych miejscowości odbywa się tylko w towarzystwie wojskowej eskorty. Ostatnio, na zaproszenie Słowacji, występowałem w Operze w Kairze – przy okazji zwiedziłem piramidy. Z zespołem KK Pearls objechałem pół świata. Gram solo, w duetach, kwintetach...

Dodam, że Twoje kompozycje wykonywali, a także miałeś okazję grać z wieloma legendarnymi postaciami polskiego i światowego jazzu, takimi jak: Adam Makowicz, Zbigniew Namysłowski, Joey Calderazzo, Bill Evans, Paolo Fresu, Richard Galliano, Branford Marsalis, Aaron Parks, Mike Stern, Miroslav Vitouš... W jakich salach występujesz?

Zwykle w klubach jazzowych i na festiwalach, takich jak London Jazz Festival, Montreal Jazz Festival, Jarasum Jazz Festival. Ostatnio występowałem z Erikiem Truffaz'em we Włoszech – w San Giorgio, w górach, na świeżym powietrzu. Kiedy wydaliśmy wraz ze słowackim chórem Voces Gregorianae Cassovienses album *Spero* – koncertowaliśmy w katedrach, m.in. w Paryżu.

Zagrałeś też koncert w domu Katarzyny Warachim.

Pani Katarzyna była malarką, osobą niepełnosprawną – malowała, trzymając pędzel w ustach. Uwielbiała muzykę, a kiedy 11 lat temu otworzyłem Jazovię, zadzwoniła do mnie z pretensjami, że nie ma możliwości uczestniczenia w koncertach. Powiedziałem, że przyjadę do niej do domu. Zapakowaliśmy instrumenty i zrealizowaliśmy ten pomysł. W ubiegłym roku pani Katarzyna zmarła, a w tym roku odbyła się uroczystość upamiętniająca ją. Byłem wtedy za granicą, ale obiecałem, że coś nagram. Szukałem inspiracji do stworzenia czegoś wyjątkowego i wymyśliłem ogród. W ogrodzie łatwo dać się ponieść wyobraźni – można grać o chaszczach, uporządkowanych rabatach, starych drzewach... A ponieważ nie wiadomo dokładnie, czym ten ogród jest, jedynym ograniczeniem staje się wyobraźnia. Dla pani Katarzyny stworzyłem album *Catherine's Garden*.





Jaką muzykę teraz preferujesz?

Staram się grać wyłącznie własne kompozycje. Wczoraj słuchałem amerykańskiego pianisty – za pierwszym razem byłem zachwycony, ale przy kolejnym odsłuchu usłyszałem zapożyczenia i wydało mi się to mniej spójne. Zrozumiałem, że wszystko muszę wykonać sam. Dążenie do doskonałości w muzyce jest czymś niekorzystnym, bo przypomina podejście sportowe, nastawione na wynik. Muzyka to coś zupełnie innego – to poszukiwanie oryginalności, własnej tożsamości poprzez dźwięki. To inny rodzaj wyzwania – nie chodzi o to, by zagrać lepiej niż ktoś inny. Myślę o tym z perspektywy indywidualnej, kogoś, kto gra na fortepianie. Przez 20 lat grałem na klawiszach, teraz próbuję odbudować ten komponent, by połączyć go z fortepianem. Muzyka elektroniczna poszła inną drogą – kiedyś naśladowała instrumenty akustyczne, dziś tworzy dźwięki, które nie powstają w sposób naturalny. W tym kierunku rozwinęła się kreatywna elektronika. Jeżdżę na targi elektroniki do Berlina, gdzie spotykam wielkich kreatorów – często artystów projektujących instrumenty wytwarzające muzykę. Zamówiłem tam instrument buczący o nazwie Vhikk X.

Codziennie ćwiczysz na fortepianie?

Tak, ćwiczę 2–3 godziny dziennie, by być bardziej sobą. Muzyka to proces, który trzeba pielęgnować codziennie. Komponowanie to akt woli – siadasz i nie wiesz, co powstanie. Ćwiczysz układy harmoniczne, które nie są oczywiste. Ćwiczysz gamy, rytm. Musisz przetransformować sposób gry w innym rytmie, by wszystko współgrało. Na samym końcu możesz zagrać utwór. Kompozycja nie jest przewidywalna – i to dla mnie najważniejsze. Przewidywalne są rzeczy, które da się skwantyfikować, a jeśli można je skwantyfikować, to znaczy, że już były – nie są więc prawdziwą twórczością. Jako kompozytor muszę codziennie wejść w stan, który pozwala mi odkryć coś nowego. Kiedyś dobrze mi się komponowało przy wychodzeniu z kaca. To był dobry stan, bo przedstawiałem weryfikować. Nie piję od 36 lat, ale mogę sobie wyobrazić tamten stan. Ważne jest, by tworząc, nie poddawać się autoweryfikacji – choć to nieuniknione.

Co to znaczy mieć dobrą formę fortepianową?

Siadasz i prowadzi cię to, że zaczynasz grać. Słyszysz, to co grasz, a to wymusza kolejne dźwięki. W normalnej formie fortepianowej grasz po prostu utwory, które przygotowałeś. Czasem idziesz na koncert i absolutnie nie masz ochoty grać, ale wiesz, że musisz. W takich chwilach mówię sobie: za dwie godziny będzie po wszystkim. Zaczynasz grać i masz połączenie z ludźmi. Ja zawsze wybieram jedną czy dwie osoby z pierwszego rzędu, nawiązuję z nimi kontakt





Krzysztof Kobyliński



”

*Piękno nie tkwi w konsekwencji, ale konsekwencja
jest bazą piękna. Liść nie może rosnąć
w oderwaniu od łodygi.*

wzrokowy, widzę jak reagują. Na tym budujemy koncert, grając poddajesz się publiczności, a publiczność poddaje się temu, co grasz. To coś wspaniałego. Mam zasadę: jeśli bardzo nie chce ci się czegoś robić, ale robisz to, bo wiesz, że przyniesie rezultaty, z których nie tylko ty będziesz zadowolony, jak przebrniesz przez ten moment, gdy ci się nie chce – to gdy już zaczniesz pracować, chcesz kontynuować.





Podczas Międzynarodowego Kongresu Grupy Charyzma i Powołanie w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie 24 października 2025 r.

Osiągałeś różne sukcesy na różnych etapach życia. Zatem warto podążać za marzeniami?

Wiesz, są takie chwile... Grałem w Izraelu i cała sala płakała z emocji. Nigdzie nie spotkałem tylu muzycznie uzdolnionych ludzi, oni są muzyką. Kolega zapowiedział mnie jako jedyną znaną sobie osobę, która osiągnęła sukces w trzech dziedzinach: edukacji (przygotowałem do egzaminów z matematyki ponad 200 osób i jestem z tego dumny), biznesie i muzyce. Podobnie było na koncercie dla pani Warachim, bo ona zaprosiła swoich niepełnosprawnych znajomych i nastąpiło tam niebywałe nagromadzenie emocji.

Twoje utwory wykonują giganci jazzu, ale Ty również promujesz innych artystów. W Jazovii nagrałeś wiele albumów z udziałem takich znakomitości jak: Orkiestra Aukso, Stanisław Sojka, Randy Brecker, Mike Stern, Clarence Penn, Mark Whitfield, Bill Evans...





Krzysztof Kobyliński

Szczerze mówiąc, utwory wolę nagrywać podczas koncertów – wersja live ma nieporównywalnie większą energię, choć w studio też powstało wiele nagrań. Głównymi rezydentami przestrzeni Jazovii są festiwale PalmJazz oraz Filharmonia. PalmJazz w tym roku miał 17 edycję. Kiedyś Gliwice zdecydowały, że mam organizować ten festiwal, potem zdecydowały, że nie – ale i tak go robiłem, z własnych środków. W tym roku wspierał nas Urząd Marszałkowski i Urząd Miasta, więc koncerty odbyły się w Gliwicach, Bytomiu, Tarnowskich Górach i Raciborzu. Wystąpili m.in.: Kayah w jazzowym anturażu, Orkiestra Aukso, Ewa Bem, Monika Borzym, Immanuel Wilkins, James Brandon Lewis, Bill Frisell, Danilo Perez, John Patitucci, z młodszego pokolenia: Gabrysia Blacha, Dima Gorelik, Marcin Pater. W sumie kilkadziesiąt koncertów.

Co sprawia, że czujesz się szczęśliwy?

Każdy z nas ma aniołka i diabełka. Aniołek każe nam pracować, robić rzeczy pozytywne, a diabełek – kretyńskie. Gdybyśmy żyli bez tego kretynizmu, byliśmy straszliwie nieszczęśliwi. Jeśli jest go za dużo, życie staje się nędzne. Ja jestem zadowolony, gdy ten kretynizm jest na właściwym poziomie. Nie znam cudownego lekarstwa, by człowiek robił tylko rzeczy dobre. Rzeczy dobre są średnio efektywne, nie gwarantują szybkiego sukcesu. W ogóle nie gwarantują sukcesu. Jesteśmy kłębowiskiem sprzeczności. Przekonałem się, że trzeba działać konsekwentnie, by osiągnąć skuteczność. Żeby osiągnąć sukces, trzeba dobrze przejść przez sytuacje, które nie wciągają. Jeśli wciągają – zaczynają działać neuroprzekazniki szczęścia: dopamina, serotonina, adrenalina.

Jakich rad chciałbyś dać młodym muzykom?

Zawsze warto poszukać trochę w sobie. Jeśli grasz i zastanawiasz się, co jest ważniejsze: muzyka czy pieniądze, i wybierzesz pieniądze – muzyka dostanie w skórę. Jeśli wybierzesz muzykę – to pieniądze dostaną w skórę. Rzeczy nie robią się same. W sztuce jest tyle nagród, polegających na przeżyciu – nigdzie indziej tego nie znajdziesz. Chodzi o zagranie koncertu i jego odbiór, o emocje, które się rodzą między tobą a publicznością. Pieniądze to rzecz nabyta. Ale muzyka to coś więcej. To sposób komunikacji, który nie potrzebuje słów. To przestrzeń, w której możesz być sobą, bez kompromisów. Jeśli młody muzyk zaczyna od pytania: co się opłaca?, to już jest w pułapce. Lepiej zapytać: co mnie porusza?, co chcę powiedzieć? Bo jeśli znajdziesz własny głos, to prędzej czy później znajdą się ludzie, którzy będą chcieli go słuchać.







Edward Maniura





Edward Maniura

Doświadczony polityk i samorządowiec, poseł na Sejm III, IV i V kadencji, burmistrz Woźnik w latach 1990–1998, a od 2006 roku burmistrz Lublińca. Realizując swoją pasję do podróży, pracował w Biurze Turystycznym Almatu, prowadził również własną firmę transportową. Obecnie zasiada w zarządzie Związku Miast Polskich. Jest honorowym obywatelem miast: Kravaře, Kiskumajsy i Redy. Otrzymał także honorowe odznaczenie Ministra Spraw Zagranicznych Japonii.



Jestem szczęśliwym człowiekiem

Rozmowa z Edwardem Maniurą – prawdziwym patriotą, współtwórcą nowej rzeczywistości w odrodzonej Polsce po upadku socjalizmu. Świadomie zrezygnował z kariery politycznej na rzecz wspierania samorządu, czyli rozwoju lokalnego. Burmistrz opowiada o swojej pasji do zwiedzania świata i fotografii oraz o tym, dlaczego po raz siódmy został wybrany na burmistrza – dwukrotnie w Woźnikach i pięciokrotnie w Lublińcu.

Panie Burmistrzu, niektórzy wielcy tego świata byli zaskoczeni, że jako poseł kilku kadencji, zrezygnował Pan z kariery na wielkiej arenie politycznej, by poświęcić się tzw. pracy u podstaw – niemalże jak w *Siłaczce* Stefana Żeromskiego...

W 1997 roku, z ramienia AWS (jako bezpartyjny), zostałem posłem na Sejm RP. Dopiero w 1999 roku zdecydowałem się po raz pierwszy wstąpić w szeregi partii politycznej – Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, a następnie, po wyborach parlamentarnych w 2001 roku, do Platformy Obywatelskiej. W 2014 roku opuściłem szeregi partii i od tego czasu, już od 11 lat, pozostaję niezwiązany z żadnym ugrupowaniem. Burmistrzem Lublińca zostałem po raz pierwszy w 2006 roku. Po wielu latach zaprosiłem do Lublińca Bronisława





Komorowskiego z wykładem z okazji 35-lecia samorządu terytorialnego. Zaczął nietypowo: „Wiesz Edward, ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego zrezygnowałeś z parlamentu i wróciłeś do samorządu (Edward Maniura funkcję posła pełnił od 1997 do 2006 roku). Uważaliśmy cię za wariata, który nagle odchodzi z polityki centralnej i robi dwa kroki w tył. Dziś zobaczyłem, jak zmieniłeś to miasto i teraz dopiero cię rozumiałem”.

Zrezygnował Pan z parlamentu ze względów prywatnych?

Nie. Uważałem, że debata publiczna staje się coraz gorsza i coraz mniej merytoryczna. Brakowało jasno wyznaczonych celów, które są niezwykle ważne. Ostatnim celem, który jednoczył różne środowiska polityczne, było wejście Polski do Unii Europejskiej. Implementacja prawa polskiego do europejskiego była gigantycznym zadaniem – uczestniczyłem w tym procesie i wiem jak ogromna praca została włożona we wprowadzenie zmian w tysiącach artykułów różnych ustaw. Myślę, że była to ostatnia kadencja, w której dominowało patrzenie z perspektywy interesu państwa, a nie interesu partyjnego. Podjąłem decyzję o odejściu, ponieważ uznałem, że skoro warstwa merytoryczna przestała być istotna, to moja obecność w Warszawie nie miała już sensu.

Nieustannie jednak wychodzi Pan poza ramy społecznika lokalnego. Ostatnio odwiedził Pan Berlin i rozmawiał z niemieckimi samorządowcami. Jakie były główne tematy rozmów?

Współprowadziłem polsko-niemiecką roboczą grupę samorządową. Wizyta dotyczyła problemów mieszkańców przygranicznych miejscowości, związanych z przywróceniem kontroli granicznych mających na celu ograniczenie migracji. W odpowiedzi na niemieckie działania, Polska również czasowo przywróciła kontrole na tej granicy. Sytuacja ta powoduje utrudnienia, w tym potencjalne opóźnienia i kolejki, szczególnie w transporcie towarów, a także komplikuje codzienne życie mieszkańców przygranicznych miejscowości. Pojechaliśmy tam, aby się porozumieć, i okazało się, że samorządy niemieckie postrzegają politykę rządową podobnie jak nasze. Stanowisko było jednoznaczne: jak najszybciej należy wycofać się z tych ograniczeń, ponieważ istnieją inne sposoby powstrzymywania nielegalnej emigracji, niż obciążanie tym problemem zwykłych ludzi. Ja generalnie dużo podróżuję, zarówno służbowo, jak i prywatnie. Turystycznie odwiedziłem Oman, Meksyk i Egipt, a niedawno wróciłem z Gruzji i Armenii. Zawsze staram się dostrzegać mocne i słabe strony danego kraju, przy okazji robiąc zdjęcia.





Edward Maniura



Wizyta minister Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz na budowie SIM w Lublińcu, 16 lipca 2025 r.

fot. Daniel Dmitriew

Może warto te fotografie pokazać publicznie?

Odkładam to na czas, kiedy nie będę już pełnił obowiązków zawodowych. Właśnie osiągnąłem wiek emerytalny i jestem szczęśliwym człowiekiem, bo mogę wszystko, ale już nic nie muszę! Praca po osiągnięciu wieku emerytalnego ma dodatkowe zalety – jest się zwolnionym z części podatku. (śmiejch)





Sprawuje Pan funkcję burmistrza Lublińca nieprzerwanie od 2006 roku. Z jakich osiągnięć jest Pan najbardziej dumny?

Na pewno z realizacji wielkiego planu drogowego – zmodernizowaliśmy 120 ulic spośród 160, pozostała już tylko niewielka część. Udało się wybudować Centrum Przesiadkowe Park and Ride, zrewitalizować tereny przy rzece Lublinicy (bulwar Europejski, bulwar im. Ludwika Okwieki), wybudować kanalizację i oczyszczalnię ścieków w Kokotku, jak również przeprowadzić modernizację miejskiej oczyszczalni ścieków, która stanowiła największe zadanie inwestycyjne, z najwyższą dotacją w historii miasta. Wartość całkowita projektu wyniosła ponad 51 mln złotych. W ubiegłym roku otworzyliśmy nowe Centrum Sportowo-Rekreacyjne przy Basenie Miejskim.

Jedną z kluczowych inwestycji jest Lubiteka, wyjątkowe połączenie biblioteki i centrum kultury, zbudowane ze środków unijnych. Każdy, kto odwiedza nasze miasto, jest pod jej wrażeniem. Obiekt ma trzy kondygnacje i ponad 3 tys. m² powierzchni użytkowej. Jego charakterystycznym elementem architektonicznym jest plaster miodu, nawiązujący do pasji patrona biblioteki – Józefa Lompy, miłośnika pszczół. Budynek jest dostosowany zarówno dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami, jak i słabowidzących.

Dumą Lubiteki jest bogaty, liczący około 100 tys. woluminów, zbiór multimedialnych. Znajduje się tu także przestronna sala konferencyjna, która pełni również funkcję sali sesyjnej Rady Miejskiej. Integralną częścią obiektu jest tarasowy, ogólnodostępny ogród, połączony ze zrewitalizowanym terenem rekreacyjnym nad Lublinicą. Lubiteka zatrudnia 17 osób – świetną i zaangażowaną kadrę. Instytucja organizuje liczne wydarzenia: warsztaty historyczne, spotkania autorskie, wystawy. Na stałe działają tu Dyskusyjny Klub Książki oraz Klub Mangi i Anime „Ikigai”. To miejsce naprawdę tętni życiem. Niezależnie od Lubiteki prężnie funkcjonuje Miejski Dom Kultury, w którym działa kino Karolinka czy różnorodne zespoły teatralne, taneczne, muzyczne i plastyczne. Do najprężniej działających sekcji MDK należą: Miejska Orkiestra Dęta Lubliniec, Mażoretki „Szafir” oraz Teatr po Pracy — zespoły odnoszące sukcesy na arenie lokalnej, krajowej, a nawet międzynarodowej.

Jak układa się Panu współpraca z radnymi? W innych miastach bywa z tym różnie.

W Radzie Miejskiej pracuje 21 radnych i muszę przyznać, że w tej kadencji współpraca przebiega znakomicie. Prawie wszystkie uchwały przyjmowane są jednogłośnie. Podobną sytuację miałem wcześniej w Woźnikach, gdzie mieszkam i gdzie przez dwie kadencje, w latach 1990–1998, pełniłem funkcję burmistrza.





Jak to się stało, że wybrano Pana burmistrzem po raz piąty w jednej miejscowości?

Dziennikarze często pytają mnie, jak to się stało, że po raz kolejny z rzędu wygrałem wybory w Lublińcu. Myślę, że zdecydowała o tym konsekwencja w działaniu. Ludzie wiedzą, że jeśli coś obiecuję, to staram się to zrealizować. Oczywiście zdarza się, że nie wszystko się uda, ale wtedy jasno podaję przyczyny. Proszę spojrzeć na mój ostatni program wyborczy – minęło półtora roku od wyborów samorządowych i już widać, co zostało zrealizowane, a co jest w trakcie realizacji. Zrobiliśmy kanalizację w dzielnicy Kokotek (miasto skanalizowane jest obecnie w 99%), kontynuujemy wymianę nieekologicznych źródeł ciepła, wprowadzamy program „Słoneczny Lubliniec II” – czyli OZE. Wprowadziliśmy Lubliniecką Kartę Mieszkańca, która uprawnia do ulg w obszarze kultury, rekreacji i sportu. Dzięki karcie również dostęp do PSZOK-u stanie się dla mieszkańców prostszy i wygodniejszy. Mamy wiele ścieżek rowerowych, a ogłosiliśmy przetarg na kolejne. Kontynuujemy rewitalizację Parku Grunwaldzkiego – powstanie tam przestrzeń do rekreacji, spacerów, pikników i aktywności sportowych. Chcemy ubiegać się o środki z programu FEnIKS (Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko) na realizację tego projektu.

Lubliniec należy do Związku Miast Polskich. Jak wygląda Pana działalność w tej organizacji?

Związek Miast Polskich to największa organizacja skupiająca samorządy w kraju. Jestem członkiem zarządu już drugą kadencję. Reprezentuję ZMP w Komitecie monitorującym największy program operacyjny w Polsce – FEnIKS, w Komitecie regionalnym ds. środków unijnych w Polsce, w Zespole ds. Infrastruktury, Urbanistyki i Transportu w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego. Zarząd ZMP pracuje w rozjazdach i bardzo regularnie, dlatego obowiązków mam wiele. Jednak jeśli się czegoś podejmuję, zawsze jestem obecny na posiedzeniach. Niedawno przedstawiłem Zarządowi ZMP pisemne sprawozdanie ze swojej działalności w Komitecie monitorującym FEnIKS, co wzbudziło zdziwienie, bo nikt wcześniej tego nie robił. Uważam jednak, że skoro zostałem delegowany przez ZMP, powinienem udokumentować swoją aktywność.

Jeśli chodzi o gospodarkę – które firmy w Lublińcu są największymi pracodawcami?

Kiedy zostałem burmistrzem, uznałem, że priorytetem jest poprawa infrastruktury i stworzenie nowych miejsc pracy. W tamtym czasie dwa duże





Słynna rozbiórka garażu przed Urzędem Miejskim w Lublińcu, przeprowadzona w 2021 roku przez burmistrza Edwarda Maniurę





Edward Maniura

zakłady zatrudniające około tysiąca osób przeszły restrukturyzację, a wielu mieszkańców straciło zatrudnienie. Ludzie przychodzili do mnie z prośbą o pracę czy mieszkanie. Dziś już tego nie robią, bo problemy zostały rozwiązane. W mieście działa wiele dużych przedsiębiorstw, reprezentujących różne branże – od przemysłu elektromaszynowego, przez chemiczny, meblarski, papierniczy, po budowlany. Dzięki ich obecności oraz inwestycjom w podstrefie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej powstały setki nowych miejsc pracy. Z analizy danych za ubiegły rok wynika, że średnie dochody na mieszkańca w Lublińcu są wyższe niż w Częstochowie czy Myszkowie. W północnej części województwa śląskiego jesteśmy liderem pod tym względem. Duży wpływ miało wejście na rynek firmy Eurobox Polska, która zaoferowała pracownikom pakiety medyczne i dodatkowe świadczenia. Spowodowało to wzrost konkurencji o fachowców, a w konsekwencji podwyżki płac w innych zakładach. Obecnie poziom bezrobocia jest bardzo niski. Dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy twierdzi, że każdy, kto chce pracować w Lublińcu, znajdzie zatrudnienie. Drugą podstawą egzystencji jest mieszkanie – i w tym obszarze również podejmujemy działania. Budujemy mieszkania we współpracy z różnymi podmiotami oraz w ramach inicjatywy mieszkaniowej SIM. Wcześniej powstało ponad 100 mieszkań komunalnych. Obecnie na liście oczekujących jest zaledwie 16 osób. Do anegdoty przeszła historia mieszkańca, który zajmował lokal nie nadający się do użytku, ale odrzucał kolejne propozycje nowych mieszkań. W końcu powiedziałem mu, że nie jestem w stanie zapewnić w Lublińcu mieszkania z widokiem na morze – wtedy przyjął piątą propozycję.

Na jakim poziomie stoi edukacja w mieście?

Miastu podlegają cztery szkoły podstawowe, których poziom jest bardzo wysoki – potwierdzają to wyniki egzaminów ośmioklasistów i matur, zazwyczaj przewyższające średnią wojewódzką. Szkolnictwo średnie należy do kompetencji starosty, ale w Lublińcu funkcjonuje rozbudowana sieć szkół, która dobrze odpowiada na potrzeby młodzieży.

Czy wspiera Pan sport?

Jestem przeciwnikiem wspierania sportu zawodowego. Uważam, że ważniejsze jest, aby przeciętny człowiek miał możliwość aktywnego spędzania czasu. W Lublińcu prężnie działa wiele stowarzyszeń, klubów sportowych, które są wspierane dotacjami z budżetu miasta. Lubliniec dzięki współpracy z organizacjami pozarządowymi oferuje szeroki wachlarz zajęć sportowych, takich jak: piłka nożna, piłka ręczna, koszykówka, biegi, badminton, judo,





gimnastyka, tenis. Sport w Lublińcu sukcesywnie się rozwija. Dużą popularnością w Lublińcu cieszy się piłka nożna i piłka ręczna. W tych obszarach działają dwa kluby piłkarskie: LKS SPARTA Lubliniec i Sporting FA Lubliniec oraz dwa kluby piłki ręcznej Stowarzyszenie Handball Club „Husaria” Lubliniec oraz Klub Piłki Ręcznej. Na uwagę zasługują rozbudowane sekcje biegowe – współorganizujemy m.in. Maraton Komandosa, Bieg o „Nóż Komandosa”, Bieg Katorznika czy Bieg Niepodległości. Do dyspozycji mieszkańców i organizacji jest również Stadion Miejski z zapleczem szatniowo-konferencyjnym. Z myślą o najmłodszych niedawno powstał park rekreacji z wodnym placem zabaw, boiskiem wielofunkcyjnym, polami do minigolfa i gry w bule, placem zabaw i strefą rekreacji.

W jaki sposób Pan się rekreuje?

Kiedyś aktywnie uprawiałem tenis, w czasach studenckich byłem prezesem klubu kolarskiego. Pełniłem również funkcję prezesa klubu piłkarskiego, a także zdobyłem tytuł mistrza Polski w kategorii VIP, w półmaratonie warszawskim. Niestety przed pandemią doznałem kontuzji, co na pewien czas wykluczyło mnie z uprawiania sportu. Obecnie wróciłem do tenisa i staram się ponownie biegać. Podczas podróży, razem z żoną, preferujemy aktywny sposób zwiedzania, często wybierając piesze wędrówki, co pozwala nam lepiej poczuć atmosferę odwiedzanych miejsc. Tak odkrywaliśmy Meksyk, Tajlandię, Malezję czy Singapur. Moja żona również dba o kondycję, często jeździ na rowerze, więc aktywność fizyczna towarzyszy nam także podczas wyjazdów.

Jakie ma Pan plany?

Prywatnie planuję dalej poznawać świat — niedawno wróciliśmy z małżonką z podróży do Kanady. Zawodowo koncentruję się na dalszym rozwoju miasta, w tym na budowie tunelu w ciągu ulicy Częstochowskiej, który pozwoli rozwiązać wiele problemów komunikacyjnych. Nie wykluczam również budowy nowej pływalni, a przede wszystkim realizacji całego programu wyborczego z 2023 roku.





Elżbieta i Marian Murawscy





Elżbieta Murawska

Artystka grafik i malarka, urodzona w Krakowie. Specjalizuje się w grafice książkowej, zwłaszcza ilustracjach dla dzieci, typografii i projektowaniu okładek. Uprawia również malarstwo olejne.

Brała udział w ponad 200 wystawach ilustracji i grafiki na całym świecie – m.in. w Centre Pompidou w Paryżu, Bratysławie, Brnie, Bolonii, Hanoi, Kairze, Hawanie, Tokio, Londynie, Hamburgu, Meksyku, Osace i Sztokholmie. Jej malarstwo prezentowano zarówno w kraju, jak i za granicą, m.in. w Galerii Les Arts du Soleil w Genewie w 2021 r. Laureatka licznych nagród, m.in. Złotego Jabłka i Złotej Plakiety na Biennale Ilustracji w Bratysławie, Złotych Koziołków w Poznaniu, medali na Biennale Grafiki w Brnie, nagród PTKW, IBBY, „Włóczni Jaćwingów” oraz dwukrotna laureatka Nagrody Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci. Uhonorowana również tytułem *Kobiety Charyzmatycznej*.



Marian Murawski (1932–2022)

Wybitny polski malarz, grafik i ilustrator, jeden z najważniejszych twórców polskiej ilustracji książkowej XX wieku. Ilustrował dzieła m.in. Wojciecha Żukrowskiego, Henryka Sienkiewicza, Hansa Christiana Andersena i Pierre'a Gripariego, nadając im niepowtarzalną oprawę graficzną. Murawski stworzył unikalny styl wizualny, inspirowany polskim folklorem. Jego malarstwo charakteryzowały hybrydowe postacie – „kukłady” – oraz intensywna gra kolorów. Był laureatem licznych nagród, m.in. Złotego Jabłka (Bratysława 1967, 1977), Grand Prix BIB (1989), Złotej Plakiety w Barcelonie (1988), Medalu na Międzynarodowym Biennale w São Paulo (1966), Srebrnego Krzyża Zasługi (1989) oraz Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2022). Wyróżniony także przez IBBY za całokształt twórczości (2008) i przez Miasto Suwałki nagrodą „Włócznia Jaćwingów”. Jego prace prezentowano na ponad stu wystawach w kraju i za granicą – od Warszawy, Krakowa i Suwałk po Paryż, Tokio, Nowy Jork, Londyn, Frankfurt, Meksyk. Był jurorem prestiżowych biennale ilustracji w Belgradzie i Bratysławie. Laureat Programu *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii *Lider XXI wieku*. Zmarł 17 października 2022 r., pozostawiając po sobie bogaty dorobek artystyczny, który na trwałe wpisał się w historię polskiej sztuki.



Siła marzeń i wartości • Liderzy XXI wieku





Chodzi o to, by namalować obraz, który cię samego zaskoczy

Rozmowa o sztuce, która przez lata była wspólnym językiem Elżbiety i Mariana Murawskich, o miłości trwającej 66 lat i o sile rodziny, w której talent artystyczny przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Wywiad składa się z dwóch rozmów: pierwszej przeprowadzonej z Marianem Murawskim, „chłopcem z dalekiej, mroźnej Północy”, tuż przed jego śmiercią w maju 2022 roku. Wspominał wówczas, jak o mały krok nie został usunięty z liceum plastycznego, a po latach uhonorowano go Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Druga rozmowa odbyła się niedawno z Elżbietą Murawską, „fajną dziewczyną, z pięknym warkoczem”, która podkreśla, że najpiękniejsze są rzeczy niepotrzebne – bo to właśnie one zostają z nami najdłużej.

Pochodzi Pani z rodziny o silnych tradycjach artystycznych. Pani pradziadek, prof. Ignacy Tadeusz Baranowski był jednym z fundatorów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i prowadził salon literacki, w którym bywali Eliza Orzeszkowa i Henryk Sienkiewicz oraz wielu polityków.





Marian Murawski

Tam też, na Krakowskim Przedmieściu, odbywały się spotkania Towarzystwa Naukowego – załóżka Polskiej Akademii Nauk. Wydawał też pismo „Ateneum”. Czyli pasję do sztuki ma Pani we krwi?

EM: Tak mi się wydaje. Rysować zaczęłam w gimnazjum, w gronie koleżanek o podobnych zainteresowaniach artystycznych. Razem uczęszczałyśmy do Młodzieżowego Domu Kultury przy ulicy Kopernika, gdzie odbywały się lekcje rysunku dla młodzieży. Miałam szczęście, bo naszą grupę prowadzili znakomici artyści Państwo Wdowiszewscy. Najczęściej ustawiali nam gipsowe popiersia starożytnych Greków, a my rysowaliśmy ich portrety twardym ołówkiem 4H, wymagającym ogromnej precyzji. Jeden z tych rysunków zachowałam, przez lata nie doceniałam jego urody. Silny wpływ na moje artystyczne dojrzewanie miały również letnie wyjazdy z babcią i bratem do Kazimierza nad Wisłą, gdzie przebywałam w towarzystwie wybitnych artystów – ludzi, których największa aktywność przypadała na okres międzywojenny. Bywaliśmy w domu malarza Witolda Pruszkowskiego oraz u Karola Sicińskiego – architekta, malarza i rysownika, zafascynowanego





Kazimierzem, który uważał to miasto za perłę polskiej architektury. Pamiętam też profesora Eugeniusza Eibischa, który przyjeżdżał z grupą swoich studentów – zachowałam w pamięci obraz, jak wsiadali do autobusu, a on stał w drzwiach i serdecznie ścisnął każdego ze studentów. Bardzo podobała mi się ta atmosfera – artystyczny klimat Kazimierza sprawił, że sztuka mnie pochłonięła. Na decyzję o zdawaniu do ASP wpłynęło jedno wydarzenie: ogłoszono konkurs dla młodzieży gimnazjalnej, a moja praca została wysłana do Paryża, gdzie zdobyła nagrodę. Przedstawiała fragmenty domu, w którym mieszkalam – drzwi i postaci wychodzące z wnętrza. Byłam ogromnie dumna i to utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinnam robić to, co lubię – rysować i malować. Po ukończeniu gimnazjum, w wieku 16 lat, zdałam egzamin i dostałam się na ASP. Dziś wydaje się to nieprawdopodobne, ale wówczas szkoła podstawowa trwała 6 lat, a gimnazjum 4.

A Pan ile miał lat, kiedy namalował pierwszy obraz?

MM: To nie był obraz, a rysunek. Byłam w pierwszej klasie szkoły powszechnej. Nauczycielka, obejrzawszy moje dzieło, powiedziała: „No to z ciebie będzie wielki artysta”. Od tamtej pory rysowałam nieustannie, najczęściej kredką sangwinową (czerwonobrunatna kredka używana do tworzenia szkiców lub rysunków). Portretowałam nauczycieli i bohaterów narodowych: Tadeusza Kościuszkę, Bartosza Głowackiego i innych, których męstwo i siłę podziwiałem. Gdy koledzy nie odrobili lekcji, prosili mnie w przerwie, bym narysował coś kredą na tablicy – to zajmowało część lekcji i pozwalało uniknąć kompromitacji.

Pochodzi Pan z Suwalszczyzny ?

MM: Urodziłem się w Podleszczewie koło Suwałk. Mieliśmy tam piękny dworek nad samym jeziorem, a droga do niego prowadziła przez potężny bór.

Gdzie Pan kontynuował naukę po wojnie?

MM: Mąż mojej starszej siostry został powołany do wojska w Szczecinie, więc przeprowadzili się tam. Siostra namówiła mnie, bym przyjechał i uczył się w gimnazjum. Potem trafiłem do liceum energetycznego, gdzie zrobiłem tzw. małą maturę. W szkole malowałem dekoracje na różne uroczystości i nauczyciele namówili mnie, żebym przeniósł się do liceum plastycznego. Musiałem zdać egzamin do IV klasy, to było pięcioletnie liceum. Dyrektorem był pan Mazurkiewicz, uczeń Jacka Malczewskiego. Dostrzegł we mnie talent i to dzięki niemu zostałem malarzem. Niestety,





gdy zmarła mu żona, wyjechał do Krakowa. Jego zastępca faworyzował dziewczyny i usunął wszystkich chłopców z klasy. Zostałem ostatni i też miałem być wyrzucony, ale wtedy dyrektkę objęła hrabianka Ponińska, wykształcona w Gdańsku i Neapolu. Pierwsze co zrobiła, to poleciła nam narysować portret. Rozłożyliśmy rysunki na podłodze, a ona zatrzymała się przy moim i zapytała: „Kto to narysował?” Zamarłem ze strachu, myśląc, że to koniec. A ona mówi: „Ty miałeś być wyrzucony? Przecież to najlepszy portret”. Ukończyłem liceum szczecińskie z wyróżnieniem i dostałem się do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Przez wiele lat Państwa drogi artystyczne i życiowe biegły równolegle. Czy poznaliście się na ASP?

MM: Zauważyłem Elżbietę, kiedy byłem na pierwszym roku ASP. Uczęszczała wtedy na zajęcia do Młodzieżowego Domu Kultury i pewnego dnia przyszła z grupą, żeby zobaczyć jak pracujemy. Spojrzałem – a tu taka fajna dziewczyna, z pięknym warkoczem. Później zdawała na ASP. Wiedziałem już wtedy, że nazywa się Radwan-Krotkiewska, bo koleżanka z mojego roku, która chodziła wcześniej do MDK, znała ją.

Podczas studiów malował Pan już obrazy?

MM: Jeździliśmy na plenery malarskie na Mazury – po pierwszym roku dużo malowałem. Po drugim roku razem z Elżbietą uczestniczyliśmy w plenerze w Rydzewie. Spędzaliśmy czas na zabawie i długich spacerach po polach grochowych, podjadając trochę grochu po drodze. Studiowałem grafikę użytkową w pracowni Józefa Mroszczaka, a malarstwo u profesora Wojciecha Fangora. Elżbieta kształciła się w zakresie grafiki w pracowni znakomitego plakacisty Henryka Tomaszewskiego, a malarstwo studiowała również u profesora Fangora. Tworzyła piękne plakaty, za które prof. Tomaszewski bardzo ją chwalił. Tak zachwycił się jednym z jej wizerunków Jeana Gabin, że poprosił Elżbietę, żeby mu go podarowała. Mnie też fascynowało i inspirowało malarstwo Fangora, on wprowadzał zupełnie coś innego, wiele mu zawdzięczam. Pierwsze moje obrazy pokazywane były w Zachęcie. Po studiach przez cztery lata byłem asystentem w pracowni prof. Józefa Moszczanka. Zarabiałem niewiele, nie mieliśmy ani mieszkania, ani własnej pracowni, a na świat przyszły dwie córki. Zrezygnowałem z uczelni, gdy dostałem dobrze płatną, choć nieartystyczną pracę – malowałem reklamy na ścianach kamienic. Dzięki temu mogliśmy się przeprowadzić do mieszkania z pracownią w domu Elżbiety przy ulicy Akademickiej 3.





Elżbieta i Marian Murawscy



Elżbieta Murawska

”

*Nie tworzę martwych natur ani klasycznych pejzaży.
Nie interesuje mnie wierne odwzorowanie przedmiotu
w danym momencie. Nie patrzę na niego tu i teraz –
raczej przywołuję jego obraz, który pojawiał się przede
mną wielokrotnie, w różnych przestrzeniach i czasach.
Wspomnienia nakładają się w mojej wyobraźni,
tworząc wielowarstwową projekcję.*





Elżbieta i Marian Murawscy

”

Przeżyliśmy razem ponad 60 lat, a wspólna pasja do sztuki pozwoliła nam osiągnąć pełne porozumienie. Podziwialiśmy się nawzajem – ja zawsze miałam ogromny szacunek dla twórczości Mariana, uważałam go za autorytet i często pytałam o zdanie. On również doceniał moje możliwości.

EM: Ja odbywałam praktyki studenckie w wydawnictwie „Nasza Księgarnia” i dostawałam zlecenia na ilustrowanie książek. To „podstępnie” wciągnęło mnie w świat ilustracji. Pierwszą książką były baśnie Václava Řežáča. Za kolejną – *Wio, Leokadio* Joanny Kulmowej – otrzymałam Brązowy Medal,





a za *Dziecko w poezji polskiej* i wyróżnienie na międzynarodowej wystawie w Lipsku. Wisława Szymborska w korespondencji z Joanną Kulmową bardzo pochlebnie wypowiedziała się o moich pracach – to dodało mi skrzydeł. Jedną książkę zrobiliśmy wspólnie z Marianem – *Podmuch malowanego wiatru* Woroszylskiego. Za tę pracę otrzymaliśmy Złote Jabłko na I Międzynarodowym Biennale Ilustracji w Bratysławie w 1967 r. Była to nowatorska realizacja – nie ilustrowaliśmy dosłownie, lecz tworzyliśmy własną interpretację plastyczną, pointę idei i problemów poruszanych przez autora. Książka była metaforą ówczesnej sytuacji politycznej. Nagroda miała ogromny wpływ na nasze życie artystyczne. W tamtym czasie Polska słynęła już ze Szkoły Plakatu, a ilustracja zaczęła funkcjonować jako autonomiczna wypowiedź artystyczna. W „Naszej Księgarni” pracowała grupa znakomitych grafików, wystawialiśmy nasze prace na międzynarodowych wystawach. Polska szybko zdobyła czołową pozycję także w tej dziedzinie – plakat i ilustracja stały się wizytówką polskiej sztuki.

Głównie dzięki Państwu, bo zdobywaliście kolejne międzynarodowe nagrody.

EM: Ilustracje męża zdobywały Grand Prix na najważniejszych światowych imprezach. Ja również miałam swoje sukcesy – Złoty Medal w São Paulo, Złotą Plakietę na Biennale Ilustracji w Bratysławie za ilustracje do *Baśni* braci Grimm czy Nagrodę Premio Europeo w Padwie. Otrzymywaliśmy nagrody, ponieważ stworzyliśmy własny język – szukaliśmy symbolu, metafory, która dawała przestrzeń do interpretacji. Nasze ilustracje miały drugie dno, były wieloznaczne, często z aluzjami do komunistycznej rzeczywistości. Prace Mariana to perfekcyjne miniatury najwyższych lotów. Polska chwaliła się naszymi ilustracjami, które objechały cały świat. W galeriach odbierano je jako samodzielne dzieła sztuki, nie porównywano ich z tekstem literackim. Ukazały się w prestiżowym niemieckim piśmie „Gebrauchsgraphik” – publikacja tam była wielkim zaszczytem. Często powtarzam – za Joanną Kulmową – że najpiękniejsze są rzeczy niepotrzebne.

Zapewne dużo podróżowaliście po świecie?

EM: Tak, to był dla nas bardzo intensywny i ciekawy okres. Pracowałam jako redaktor graficzny w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, często pełniłam też rolę komisarza wystaw międzynarodowych. Raz przygotowałam zestaw dzieł, moim zdaniem, najlepszych ilustratorów i z tą wystawą odwiedziłam wszystkie stolicy krajów Demoludu. Wzbudzała duże zainteresowanie. Na biennale w Bratysławie i Brnie otrzymywaliśmy z mężem osobiste zaproszenia





– byliśmy tam naprawdę doceniani. To były ważne wydarzenia, zarówno artystyczne, jak i towarzyskie. Gdy mąż zdobył Grand Prix, na imprezie pojawił się nawet Václav Havel, a później zaproszono Mariana do jury. Kilkakrotnie uczestniczyłam w targach książki w Bolonii, zaproszono nas też do Tyrenii i Viareggio – zwiedzający przychodzili do późnej nocy.

Poznawaliśmy artystów z całego świata, wymienialiśmy poglądy, nawiązywaliśmy przyjaźnie. W Bolonii usłyszałam jak Włosi komentowali nasze prace: „To chyba z Północy” – wyróżnialiśmy się stylem, byliśmy rozpoznawalni. Dzięki uznaniu, jakie zdobywały nasze ilustracje, mogliśmy podróżować, choć często zdarzało się, że były one wysyłane i podróżowały częściej niż my. Wielkim zaszczytem była dla nas wystawa w Centre Pompidou w Paryżu – niewielu artystom udało się tam trafić. Miło wspominać też ekspozycje w Genewie, Malmö czy Monako – wzbudzały zainteresowanie i były dobrze przyjmowane. Japończycy też nas cenili, kupili serię ilustracji i zorganizowali wystawę w Osace. Za honorarium kupiliśmy nasz pierwszy samochód: czerwoną Toyotę.

Otrzymywała Pani też nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za opracowania graficzne i wysoki poziom artystyczny i edytorski Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

EM: Tak, przyczyniłam się do rozwinięcia potencjału artystycznego LSW. Zajmowałam się wyłącznie literaturą piękną. Z mojej inicjatywy zaczęto zlecać ilustracje do poezji – co wówczas uznano za wydarzenie. Wydawaliśmy też serię utworów z nurtu wiejskiego. Miałam przyjemność współpracować z wybitnymi twórcami, m.in. Wiesławem Myśliwskim, Tadeuszem Nowakiem i innymi pisarzami.

A Pan zyskał uznanie w świecie i został wykładowcą ilustracji i grafiki książkowej w Instituto Cubano del Libro w Hawanie.

MM: A później przestałem robić ilustracje, ponieważ w „Naszej Księgarni” i LSW, z którymi współpracowałem, nastąpiły polityczne rewolucje. Przyszli nowi ludzie i nie było nam po drodze. Zająłem się malarstwem sztalugowym, wielkoformatowym, olejnym i akrylowym.

W malarstwie czerpie Pan inspirację z Suwalszczyzny, jej pejzażu, ożywia płoty, na przykład strachy na wróble, tworząc z nich hybrydowe postacie „kukłady”, emanujące ludzkimi emocjami. Który swój obraz najbardziej Pan lubi?

MM: „Byka rasy polskiej czerwonej” i „Szczęblatego jeźdźca”.





Elżbieta i Marian Murawscy



”

Dzięki uznaniu, jakie zdobywały nasze ilustracje, mogliśmy podróżować, choć często zdarzało się, że były one wysyłane i podróżowały częściej niż my.

Jak wyglądało życie w domu, w którym dwoje artystów tworzyło obok siebie?

EM: Przeżyliśmy razem ponad 60 lat, a wspólna pasja do sztuki pozwoliła nam osiągnąć pełne porozumienie. Podziwialiśmy się nawzajem – ja zawsze miałam ogromny szacunek dla twórczości Mariana, uważałam go za autorytet i często pytałam o zdanie. On również doceniał moje możliwości. Fascynowała mnie jego osobowość i talent – miał inną wyobraźnię, inną wrażliwość, ale łączyło nas poetyckie myślenie. Gdy się poznaliśmy, powiedział o sobie: „jestem chłopcem z dalekiej, mroźnej Północy” – to zdanie zapadło mi w pamięć i na zawsze pozostał dla mnie kimś z innego świata.





Jak dziś patrzy Pani na dorobek Mariana Murawskiego – co według Pani w jego sztuce było najważniejsze?

EM: Marian pochodził z Suwalszczyzny i jego malarstwo nosi ślad tej krainy jezior, lasów, kolorów i zapachów, które od lat sama tam odnajduję. Głęboka więź z tą ziemią sprawiła, że jego twórczość jest tak autentyczna i oryginalna. Obserwował świat z niezwykłą uwagą i wrażliwością, co miało odbicie w jego pracach. Nigdy nie podążał za modą – podobnie jak ja, choć z czasem każdy człowiek się zmienia. Inaczej czuje kolor, inaczej przeżywa rzeczywistość, dlatego nasze dzieła są odmienne.

Obecnie koncentruje się Pani na malarstwie – czy zdarzyło się Pani kiedyś malować na przykład maliny?

EM: Nie tworzę martwych natur ani klasycznych pejzaży. Nie interesuje mnie wierne odwzorowanie przedmiotu w danym momencie. Nie patrzę na niego tu i teraz – raczej przywołuję jego obraz, który pojawiał się przede mną wielokrotnie, w różnych przestrzeniach i czasach. Wspomnienia nakładają się w mojej wyobraźni, tworząc wielowarstwową projekcję. Właśnie to warstwowanie obrazów pozwala mi dostrzec prawdę przedmiotu w czasie. W takim ujęciu przestaje on być jedynie formą – staje się metaforą, nośnikiem znaczeń, odniesień, wieloznaczności. Kompozycje buduję z elementów, które mnie fascynują. Ostatnio są to muszle – niesamowite zjawisko natury, zachwycające formą, kolorem, kruchością i siłą. Zwróciłam na nie uwagę podczas pobytu u córki we Włoszech. Dla mnie są symbolem – delikatne, a jednocześnie pełne muzyki. Ich kształty i kolory potrafią zaskakiwać. Zwykle myślimy, że muszle są jasne, a przecież bywają też czerwone. Same w sobie są piękne.

Czego Pani szuka w malarstwie?

EM: Po Akademii malowałam różne tematy – kobiety, akty, obrazy niemal surrealistyczne. W Szwecji zarówno moje, jak i męża prace podobały się tak bardzo, że sprzedałam niemal całą ich serię. Dziś definicje sztuki bywają tak rozmyte, że trudno czasami powiedzieć, czym ona właściwie jest. Wszystko zależy od filozofii, która za tym stoi. Profesor Fangor mówił, że w malarstwie chodzi o to, by namalować obraz, który cię samego zaskoczy – żebyś patrząc na niego nie dowierzał, że to twój. I żebyś się nim zachwycił.

Jak wygląda u Pani proces twórczy?

EM: Najlepszy moment to ten, gdy obraz istnieje już w mojej wyobraźni. Ale często podczas pracy wyobraźnia dalej pracuje, wizja się zmienia, a konsekwencja





Elżbieta Murawska

bywa trudna do utrzymania. Najtrudniej, gdy mam wiele pomysłów i muszę wybrać jeden. Samo malowanie to ogromna przyjemność, ale też wysiłek – wymaga koncentracji, precyzji, synchronizacji z wyobraźnią. Kolor musi „zabrzmieć”, zaświecić, mieć błysk i dźwięk. Czasem mimo starań efekt nie jest taki, jaki zamierzałam – zestawienia barw nie dają właściwego dźwięku. Myślę o kolorze jak o muzyce – musi mieć ton, rytm, energię. Każdy ruch pędzla musi być świadomy i spójny z wyobraźnią.

Ile obrazów Pani namalowała?

EM: Ponad dwieście. Ale liczba prac nie świadczy o ich wartości – nie ilość prowadzi do arcydzieła. Wielcy twórcy – pisarze, muzycy, malarze – mają w dorobku wiele dzieł, z których tylko nieliczne uznaje się za wybitne. Antoine





Saint-Exupéry napisał siedem utworów, a *Mały Książę* stał się jego arcydziełem. Talentu nie mierzy się ilością – to kwestia natchnienia, chwili, w której wyobraźnia współgra ze sprawnością. Przez pracę człowiek dochodzi do różnych osiągnięć, ale ze sztuką tak nie jest. Talent to dar, z którym człowiek się rodzi. Mój mąż mawiał, że to dar od Boga.

Skąd potrzeba malarstwa wielkoformatowego?

EM: To chyba naturalna reakcja na lata pracy w ciasnej przestrzeni. Mieszkaliśmy z dziećmi w jednym pokoju, a nasze ilustracje powstawały w małych formatach. Z czasem pojawiło się pragnienie wyjścia poza ramy – dosłownie i symbolicznie. Potrzeba większego formatu, swobody, oddechu w sztuce.

Niedawno została Pani uhonorowana za całokształt twórczości w Nowym Jorku.

EM: Tak, otrzymałam dyplom uznania. Zostałam zaproszona na międzynarodowe spotkanie artystów z różnych stron świata, gdzie prezentowałam swoje prace w formie multimedialnej. Towarzyszyły mi moja córka Marianna i Nadija Hinderer, poznana w Grupie Charyzma i Powołanie, z którą się zaprzyjaźniłam. Opiekował się nami Krzysztof Kubiak – mieszkaniec Nowego Jorku, pisarz i laureat tytułu *Lider z powołania*. Dzięki jego uprzejmości mogliśmy zwiedzić najważniejsze muzea. Największe wrażenie zrobiły na mnie Galeria Guggenheima oraz Metropolitan Museum of Art.

Ostatnio miała Pani wiele wystaw na Śląsku. Jak się Pani czuła, widząc że obrazy znajdują nabywców i wzbudzają emocje?

EM: To był mój pierwszy kontakt ze Śląskiem – prawdziwe odkrycie. Dotychczas byłam związana głównie z Suwalszczyzną, gdzie mieliśmy pracownię. Po śmierci Mariana jeździłam tam sama lub z przyjaciółmi z Grupy Charyzma i Powołanie, którzy dali mi ogromne wsparcie w trudnym czasie. Śląsk urzekł mnie pod każdym względem – szczególnie ludzie, serdeczni, otwarci, życzliwi. Zafascynowała mnie też architektura Rudy Śląskiej, zamki w Pszczynie i Książu – prawdziwe skarby kultury. Miałam wernisaże, m.in. w Stajniach Królewskich w Pszczynie, w Restauracji Balaton w Zabrze, w Bibliotece Miejskiej w Żorach i w Galerii Tichauer w Tychach. Rzeczywiście, wiele osób kupiło moje obrazy – zdarzyło się nawet, że kilka chciało nabyć to samo dzieło. To było dla mnie bardzo miłe i budujące. W Ustroniu nadal wiszą moje „czarne” obrazy – cieszy mnie, że przyciągają uwagę. Obecnie w Galerii Tichauer w Tychach trwa wystawa niepokazywanych dotąd prac Mariana,





Elżbieta i Marian Murawscy

zestawiona z wystawą rysunków Salvadora Dalego i Pabla Picassa. W listopadzie odbędzie się tam moja – w towarzystwie rysunków Henri Matisse’a. Planuję intensywną trasę wystawienniczą po Polsce. W październiku w nowej części Muzeum w Suwałkach odbędzie się wspólny wernisaż moich prac, Mariana i naszej córki Marianny.

W jaki sposób Pani odpoczywa?

EM: Najlepiej odpoczywam przy malowaniu. Podróże także mają swój urok – nie sposób ich nie docenić. Mam dużą rodzinę: dwie córki, sześcioro wnuków i trzech prawnuków. To również źródło radości i inspiracji. Córki wychowywały się w naszej pracowni, obie odziedziczyły talent i ukończyły ASP. Beata zrobiła karierę, malując tulipany, które są jej znakiem rozpoznawczym – jej obrazy są nie tylko artystycznie wartościowe, ale też świetnie się sprzedają. To nowoczesna sztuka, pełna rytmu, koloru i emocji – niemal dekoracyjna, a jednocześnie intrygująca. Marianna z kolei często podpira się w swojej twórczości filozofią, psychicznie jest zupełnie inna. Maluje ciekawe oryginalne obrazy. Każda osoba z naszej rodziny maluje w innym stylu.







Narantuya Nomindalai i Och Bataa





Dr Narantuya Nomindalai i Dr Och Bataa

Dr Narantuya Nomindalai (gastro-enterolog) i Och Bataa (nefrolog), absolwenci Uniwersytetu Medycznego w Ułan Bator, od ponad 30 lat łączą wiedzę medycyny zachodniej z głęboko zakorzenioną tradycją leczniczą Mongolii. Do Polski przyjechali 1991 roku. W Warszawie prowadzą Gabinet Pomocy Zdrowotnej, w którym diagnozują choroby na podstawie pulsu, oczyszczają organizm kobyli mleką i przywracają równowagę psychofizyczną pacjentom, dla których często są ostatnią nadzieją. Stosują także akupresurę, akupunkturę oraz leczenie bańkami. Ich motto to: „Zamiast leczyć, lepiej zapobiegać. Jeśli leczyć, to przyczyny, a nie objawy”.

Za swoje osiągnięcia zostali uhonorowani odznaczeniami państwowymi Prezydenta Polski oraz tytułami wręczonymi przez Redakcję WHY Story: *Kobieta Charyzmatyczna* oraz *Lider z powołania*, a ich Gabinet Pomocy Zdrowotnej został nagrodzony tytułem *The Best & More*.



W harmonii z naturą i z samym sobą

Dr Narantuya Nomindalai i dr Och Bataa pochodzą z kraju stepów, koni, kaszmiru oraz bogatych złóż mineralnych.

Małżeństwo mongolskich lekarzy opowiada o swojej drodze z Ułan Bator do Polski, pasji do tańca i ground-golfa oraz holistycznym leczeniu duszy i ciała, które łączy medycynę zachodnią z azjatycką, alternatywną, spisaną za czasów Chingis-chana. Przede wszystkim mówią jednak o sposobach zapobiegania chorobom. Podkreślają znaczenie zdrowego myślenia, dobrej energii oraz umiejętności spojrzenia w głąb siebie.

Jesteście małżeństwem już od 38 lat, jak się poznaliście?

NN: Obydwoje studiowaliśmy medycynę w Ułan Bator. Natknęłam się wtedy na ogłoszenie na uczelni o kursie tańca towarzyskiego. Wcześniej już tańczyłam – znałam walca, tango, latino i inne tańce towarzyskie – ale chciałam się dalej rozwijać w tym kierunku. To tam, w 1985 roku, poznałam mojego przyszłego męża. On również wcześniej tańczył i uznał, że mnie nauczy. Zaopiekował się mną, a ja udawałam, że jestem początkująca (śmiech). W 1987 wzięliśmy ślub, a wkrótce potem urodziłam dwóch synów.

Z czego słynie Mongolia?

NN: To ostatni kraj, którego mieszkańcy prowadzą koczowniczy tryb życia. Wprawdzie żyjący w ten sposób stanowią około 30 procent ludności – mamy





przecież granice i infrastrukturę gospodarczą – trudno jednak sobie wyobrazić Mongoła bez konia. Każdy region ma swoje święto, podczas którego organizowane są wyścigi konne. Ludzie hodują też wielbłądy, owce, kozy i z całymi stadami przemieszczają się na nowe pastwiska. Utrzymują się głównie z wełny, słyniemy na świecie z produkcji kaszmiru. Złóża na terenie Mongolii zawierają niemal całą tablicę Mendelejewa. Choć kraj liczy ledwie 3 mln mieszkańców, pod względem powierzchni jest kilkakrotnie większy niż Polska. Mamy stepy, góry, pustynię – krajobraz nieustannie się zmienia, choć dominują rozległe tereny, a miejscowości dzielą ogromne odległości. Horyzont jest tam głębszy i dłuższy. Życie toczy się w zgodzie i w kontakcie z naturą. Mamy cztery pory roku, występują zarówno ekstremalnie wysokie, jak i ekstremalnie niskie temperatury. Organizm człowieka zmienia się i dostosowuje do rytmu natury.

OB: A tak na marginesie – ciekawostka: już w XIII wieku franciszkanin Benedykt Polak wziął udział w wyprawie włoskiego zakonnika Jana di Piano Carpini, której celem było nawiązanie kontaktu z mongolskimi władcami. Benedykt był jednym z pierwszych Europejczyków, którzy opisali mongolską przyrodę, krajobrazy i styl życia tamtejszych ludzi. Jednym z najbardziej fascynujących epizodów w historii relacji polsko-mongolskich jest produkcja 10 000 figurek Buddy Amitajusa – symbolu długiego życia i długowieczności. W latach 1913–1914 warszawska Fabryka Norblina, na zlecenie rządu Mongolii, który po odzyskaniu niezależności od Chin dążył do wzmocnienia buddyjskiej tożsamości narodowej, wykonała tysiące posążków przeznaczonych dla świątyń. Figurki trafiły m.in. do klasztoru Gandan w Ułan Bator oraz do innych miejsc kultu. Niestety, w wyniku rewolucji komunistycznej lat 30. XX wieku większość z nich została zniszczona lub rozgrabiona.

A jaka jest Wasza historia przybycia do Polski?

NN: Przyjechaliśmy w 1991 roku na kilkuletni kontrakt. Pracowaliśmy w Instytucie Medycyny Naturalnej w Ułan Bator, gdy odwiedzili nas przedstawiciele Fundacji Pomocy Zdrowotnej z Warszawy. Chcieli sprowadzić do Polski naszych lekarzy. Początkowo nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy nie wrócić do Mongolii, ale zależało nam na rozwoju. Najważniejsze dla nas było to, by móc pracować w swoim zawodzie – nostryfikowaliśmy więc dyplomy, uczyliśmy się języka polskiego i zdobyliśmy specjalizacje. Ja pracowałam jako doktorantka w szpitalu Akademii Medycznej w Warszawie na oddziale gastroenterologii, gdzie prowadziłam badania nad stłuszczeniem wątroby.





Narantuya Nomindalai i Och Bataa



”

*Od 23 lat prowadzimy
Gabinet Pomocy Zdrowotnej
przy ulicy Bednarskiej
w Warszawie, gdzie
łączymy tradycyjną
medycynę mongolską
z nowoczesnym podejściem
do zdrowia.*





OB: Ja natomiast obroniłem pracę doktorską na temat mongolskich odmian masażu punktowego i jego zastosowania w leczeniu świądu mocznicowego u chorych z niewydolnością nerek, długotrwale dializowanych. 25 lat temu było to sensacyjne odkrycie, ponieważ schorzenie uznawano za nieuleczalne. Moja metoda pomogła pacjentom, a rozprawę od razu opublikowano w Kalifornii. Po przyjeździe do Polski, postawiliśmy sobie za cel wprowadzenie tutaj tradycyjnej medycyny mongolskiej. Nieustannie realizujemy ten cel – od 23 lat prowadzimy Gabinet Pomocy Zdrowotnej przy ulicy Bednarskiej w Warszawie, gdzie łączymy tradycyjną medycynę mongolską z nowoczesnym podejściem do zdrowia.

Na czym polega tradycyjna medycyna mongolska?

OB: To taka mieszanka – trochę z medycyny tybetańskiej, trochę z chińskiej, no i oczywiście nasze własne, mongolskie sposoby leczenia. Najstarszy ślad, że ktoś się tam kiedyś medycyną zajmował, to czaszka z widocznymi śladami po trepanacji, którą znaleziono w grobie Hunów z III w. n.e. My zresztą od Hunów pochodzimy. Za czasów imperium Czyngis-chana zaczęto spisywać różne zasady dotyczące leczenia. Wtedy też powstał pierwszy ośrodek, gdzie leczono ludzi. Najważniejszym „podręcznikiem” dla lekarzy jest „Dżud-szi” – tybetańska księga, która opisuje podstawy medycyny. Nie wiadomo, kto ją napisał ani kiedy dokładnie powstała, ale według tradycji zawartą w niej wiedzę przekazał Sangye Menla – Budda Medycyny. Na naszych uczelniach medycznych właśnie od tej księgi zaczyna się naukę.

NN: My patrzymy na człowieka w sposób holistyczny. Organizm ludzki to jedna spójna całość – żaden narząd nie funkcjonuje oddzielnie, w oderwaniu od reszty ciała. Zgodnie z teorią tradycyjnej medycyny mongolskiej, zdrowie opiera się na zachowaniu równowagi trzech podstawowych elementów: *Chii* (wiatr), *Shar* (żółć) i *Badkan* (flegma). Jej głównym celem jest zapobieganie chorobom, a nie tylko ich leczenie. Kluczowe znaczenie ma zdrowe myślenie, dobra energia oraz umiejętność spojrzenia w głąb siebie.

W jaki sposób diagnozujecie choroby?

NN: Opieramy się na wnikliwej analizie pulsu pacjenta. Doświadczony lekarz potrafi rozróżnić aż 90 rodzajów tętna. Dzięki temu możliwe jest zlokalizowanie zaburzeń przepływu energii i rozpoznanie nawet około 440 różnych chorób. Po zbadaniu pulsu lekarz ocenia język pacjenta – jego kolor, kształt oraz rodzaj nalotu. Dużo mogą powiedzieć także oczy, uszy, a niekiedy analiza wydzielin.





”

*Łączę jogę z tańcem i ćwiczeniami oddechowymi.
Często zalecam ruch pacjentom – niekoniecznie jogę,
bo każdy potrzebuje czegoś innego. Zdrowe odżywianie
i regularny ruch to podstawy zdrowia nie tylko
fizycznego, ale i psychicznego.*

Chorobę można zdiagnozować znacznie wcześniej, niż potwierdzą ją badania laboratoryjne. Leczenie polega na przywróceniu równowagi w organizmie.

Jakimi metodami leczycie?

OB: Stosujemy akupresurę, akupunkturę, bańki, masaże, kompresy, artroskopię przy ortopedycznych schorzeniach, moksoterapię, czyli ogrzewanie punktów ciała. Od 2009 roku współpracujemy z firmą 4life, specjalizującą





się w suplementach Transfer Factor, które wspierają odporność organizmu. Są szczególnie pomocne w okresie rekonwalescencji po koronawirusie.

NN: Skład preparatów oraz metody leczenia dobieramy indywidualnie, uwzględniając wiele czynników – przed wszystkim przyczynę choroby, wiek i osobowość pacjenta, jego kondycję fizyczną, a nawet aktualną porę roku. Duże znaczenie dla zdrowia ma woda – kiedy i w jaki sposób ją pijemy. Zdarza się, że pacjenci mówią: piję wodę i puchnę. Jeśli organizm nie przyswaja prawidłowo wody, naszym zadaniem jest przywrócenie równowagi. Szczególną uwagę zwracamy na oczyszczanie wątroby, która w tradycyjnej medycynie mongolskiej porównywana jest do drzewa – najlepiej robić to wiosną, a pomocny w tym procesie jest sok z jabłek. Zalecamy również indywidualnie dobrane diety i zmianę stylu życia. Gdy uda się odkwasić organizm – czy to za pomocą suplementów, czy zdrowego żywienia – ciało samo potrafi uruchomić procesy uzdrawiające.

Jak długo trzeba przyjmować suplementy, żeby odkwasić organizm?

NN: U niektórych wystarczą trzy tygodnie, inni potrzebują trzech miesięcy, a czasem cały proces trwa nawet kilka lat. Tak długo, jak trwała choroba – tak długo trzeba wspierać organizm w odzyskiwaniu równowagi.

Czy w Waszej praktyce lekarskiej mieliście trudne przypadki?

NN: Tak, wielokrotnie trafiali do nas pacjenci, dla których byliśmy ostatnią deską ratunku. Pamiętam pielęgniarkę, która przysłała z 12-letnim synem – dziecko miało poważnie uszkodzoną wątrobę i zostało zakwalifikowane do przeszczepu. Udało się nam wyprowadzić je z choroby dzięki suplementacji i oczyszczaniu organizmu. Innym razem zgłosiła się kobieta uznana za nieuleczalnie chorą – miała skurczony pęcherz i nie była w stanie nawet leżeć. Dziś ma ponad 70 lat i cieszy się dobrym zdrowiem. Leczymy teraz jej dzieci, wnuki, a nawet prawnuki – to już cztery pokolenia. Mamy też pacjentów onkologicznych. W takich przypadkach koncentrujemy się przede wszystkim na przywracaniu równowagi psychofizycznej.

Chętnie dzielicie się swoją wszechstronną wiedzą – aktywnie publikujecie i promujecie tradycyjną medycynę mongolską.

OB: Jesteśmy autorami ponad 20 opracowań naukowych, licznych książek o tematyce zdrowotnej oraz artykułów poświęconych profilaktyce chorób, publikowanych w takich czasopismach, jak „Trybunał Lekarski” czy „Lekarz Rodzinny”. Na łamach „Zwierciadła” prowadziliśmy przez pewien czas własną





kolumnę wspólnie z hinduskim lekarzem i polskim homeopatą, w której opublikowaliśmy ponad 70 artykułów. Często występowaliśmy również w programach telewizyjnych, takich jak: Kawa czy Herbata, a także na antenie TVN Warszawa, TVN oraz w Radiu dla Ciebie.

Zajmujecie się też działalnością społeczną.

OB: Należymy do Rotary International – globalnej organizacji humanitarnej, która działa na rzecz pokoju, walki z ubóstwem oraz poprawy opieki zdrowotnej. W ostatnich latach Rotarianie okazali ogromne wsparcie Ukrainie. W Mongolii, gdzie nie ma lekarzy ze specjalnościami, Rotary sfinansowało Smartprogram – dzięki niemu medycy z 333 powiatów otrzymali smartfony, co znacząco poprawiło dostęp do wiedzy i konsultacji. W naszej ojczyźnie często występują choroby dermatologiczne oraz ukryte formy nowotworów, które – dzięki zaangażowaniu członków organizacji – udało się usunąć chirurgicznie, ratując życie wielu pacjentów. Braliśmy udział w różnych programach w Makao, Tajwanie i Korei Płd. Uroczystość współpracy z Rotarianami świętowaliśmy w rejonie Azji i Pacyfiku – wydarzenie uświetnił występ Kayah, która również zaangażowała się w pomoc.

W jaki sposób dbacie o długość i jakość swojego życia?

NN: Ruch odgrywa u nas ogromną rolę. W zeszłym roku byłam w Indiach i nauczyłam się jogi. Staram się ćwiczyć codziennie rano, przynajmniej przez 10 min. Łączę jogę z tańcem i ćwiczeniami oddechowymi. Często zalecam ruch pacjentom – niekoniecznie jogę, bo każdy potrzebuje czegoś innego. Zdrowe odżywianie i regularny ruch to podstawy zdrowia nie tylko fizycznego, ale i psychicznego. Razem z mężem gramy też w golfa.

OB: Dziesięć lat temu założyliśmy Klub Sportowy Ground Golf – jestem jego prezesem. Od kilku lat bierzemy udział w turniejach w Mongolii, Japonii i Szanghaju. Od 2018 roku organizujemy Mistrzostwa Polski, a w 2020 roku zorganizowaliśmy Open Europa w Józefowie, niedaleko Warszawy. W zawodach wzięło udział 120 uczestników z 11 krajów. W 2027 roku wybieramy się na mistrzostwa świata seniorów, zostaliśmy zaproszeni do Jarohimy w Japonii. Uważam, że golf to świetne remedium na te zwariowane czasy, w których dominują cztery ściany, tablety, smartfony i Chat GPT.

NN: Urlopy najczęściej spędzamy w Mongolii. Tamtejsze rozległe przestrzenie sprzyjają regeneracji, wyciszeniu i odzyskaniu energii. Jutro znów wyjeżdżamy.





Narantuya Nomindalai i Och Bataa





Planujemy zrobić sobie kurację oczyszczającą z kobyłego mleka. Moja siostra mieszka około 100 km od Ułan Bator i obiecała przygotować dla nas mleko od kobyły, która urodziła źrebię. To silny antyoksydant, który doskonale oczyszcza wątrobę i wzmacnia drogi oddechowe.

Co robicie wolnych chwilach?

OB: Tańczymy wspólnie z całą rodziną, również z wnukami, prezentując naszą kulturę. W 2014 roku założyliśmy zespół „Melodie Mongolskie”, w którym wykonujemy tradycyjne tańce mongolskie. Przypomnę, że na zaproszenie WHY STORY wystąpiliśmy podczas konferencji „Damy i Dżentelmeni 2019” w Konstancinie-Jeziorniej.

A z czego jesteście najbardziej dumni?

NN: Z rodziny. Mamy troje dzieci i czworo wnuków. Najstarszy syn wraz z żoną są lekarzami internistami – urodzili się i ukończyli studia medyczne w Mongolii. Łączą wiedzę z zakresu medycyny polskiej i mongolskiej, a dziś pracują razem z nami w Gabinetzie Pomocy Zdrowotnej. Młodszy syn ukończył psychologię i pracuje jako rekruter w amerykańskiej firmie informatycznej, a jego żona Kasia jest absolwentką kierunków zarządzanie i księgowość. Oni mają jedno dziecko. Nasza córka urodziła się już w Polsce. Wszyscy w rodzinie jesteśmy bardzo zżyci, rozumiemy się i wspieramy nawzajem.

OB: Cieszymy się, że możemy pracować w zawodzie, który kochamy, i jesteśmy mu całkowicie oddani. Praca jest naszą pasją i źródłem radości. Moje życiowe motto brzmi: „Niech wszystko, co się zdarza, wypływa prosto z serca”.





Józef Skrzek

for: Sylwester Koral





Józef Skrzek

Wirtuoz, wokalista i kompozytor, twórca i lider legendarnego zespołu SBB, założonego w 1974 roku. Już wcześniej, w 1971 roku, powołał do życia formację Silesian Blues Band, w której obok niego grali Apostolis Anthimos (gitara) i Jerzy Piotrowski (perkusja).

W latach 1972–1973 trio współpracowało z Czesławem Niemenem, Helmutem Nadolskim i Andrzejem Przybielskim, tworząc Grupę Niemen. Skrzek to czołowy przedstawiciel polskiego rocka progresywnego i muzyki elektronicznej, artysta nieustannie poszukujący nowych form wyrazu. Komponował muzykę do spektakli teatralnych, filmów, a także jest autorem opery *Pokój saren*, wystawionej przez Operę Śląską. Już w czasach PRL-u odnosił sukcesy na światowym rynku muzycznym. Zespół SBB był kwalifikowany w Europie jako przedstawiciel nurtu *symphonic rock*, obok takich formacji jak Genesis czy Pink Floyd. Grupa występowała na listach przebojów w towarzystwie brytyjskich i amerykańskich gigantów sceny muzycznej, dzieląc ją m.in. z Bobem Marleyem, Eltonem Johnem, Soft Machine, Marillion i Deep Purple. Legenda głosi, że Bob Marley zaśpiewał mu *Happy Birthday to You* z okazji jego 30. urodzin.

Laureat wielu nagród, w tym Złotego Fryderyka w 2013 roku za całokształt twórczości oraz tytułu *Lider z powołania* w najbardziej prestiżowej kategorii *Lider XXI wieku* (2024).



Wędrówka przez życie

Rozmowa z Józefem Skrzekiem – geniuszem muzycznym, a zarazem niezwykle wrażliwym człowiekiem – o jego wczesnym dorastaniu, ewolucji twórczości, artystycznych przyjaźniach i ich konsekwencjach. Mistrz podkreśla, że muzykę należy tworzyć dla ludzi, bo to przecież oni są jej odbiorcami. W wywiadzie akcentuje również znaczenie miłości i rodziny – „Z miłości jestem”, jak sam śpiewa.

Pochodzisz z Siemianowic Śląskich-Michałkowic...

Tam się urodziłem i tam uczyłem się w szkole podstawowej, popołudniami zaś dojeżdżałem do Szkoły Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach. Co to była za szkoła! Co za fenomenalni pedagodzy!

Pochodzisz z rodziny muzycznej?

Od małego byłem pięknie niesiony przez rodzinę – Mamę, Tatę, stałem się ulubieńcem ciotek, wujków, dziadków. Mama nauczyła mnie pieśni Chopina *Życzenie* („Gdybym ja była słońcem na niebie”), a wszyscy prosili: „Józinek zaśpiewaj”. Dawali mi zresztą różne tematy, ćwiczyłem gamy, pasaże, etiudy. Wujek Jan prowadził szkołę muzyczną, dzięki niemu poznałem całe instrumentarium. Średnią szkołę muzyczną skończyłem w katowickiej Szkole Karłowicza w klasie fortepianu (drugi instrument skrzypce). Koncert dyplomowy zagrałem w Filharmonii Śląskiej pod batutą Konrada Bryzka.





Silesian Blues Band, 1971 r.

Czy zdarza Ci się nadal mieć treść?

Nie taką jak wtedy, powiedziałbym, że teraz jestem podekscytowany. Po dyplomie Szkoły Muzycznej Karłowicza przez cztery semestry studiowałem w katowickiej Akademii Muzycznej – do czasu gdy mój ojciec Ludwik, zginął w kopalni. Wyczuwałem tak wielką rozpacz mamy, strach przed tym, jak my sobie sami poradzimy, że wziąłem urlop dziekański i zacząłem zarabiać, grając zawodowo. W ciągu miesiąca nauczyłem się grać na gitarze basowej i w 1969 roku dołączyłem do Tadeusza Nalepy oraz zespołu Breakout. Grałem na gitarze basowej, również na fortepianie, śpiewałem falsetem i musiałem mieć „odjazdowe” stroje na scenę.

Miałeś też utalentowane rodzeństwo.

Tak, siostrę i brata. Terenia została sportsmenką, przez kilka lat osiągała w parze z Piotrem Szczypą mistrzostwo Polski w jeździe figurowej na lodzie. Janek (Jan

fot. archiwum Romualda Skopowskiego



Józef Skrzek



Zabrze DMIT koncert SBB, 1974 r.



fot. Zenon Keller

SBB live, 1974 r.





fol. Przemysław Pomarański





„Kyks” Skrzek) wybrał swoją drogę muzyczną – grał bluesa na harmonijce ustnej i fortepianie, komponował, był silnie związany z regionem Górnego Śląska.

Chorzowska „Leśniczówka” szczyli się Tobą jako twórcą jej legendy w latach osiemdziesiątych.

Ależ tak! Zakładałem „Leśniczówkę”, sam wyrąbywałem ścieżki! Przez pierwszą dekadę jej istnienia graliśmy tam z Michałem Gierem, Romkiem Kostrzewskim, Andrzejem Urnym, Jurkiem Kawalcem, moim bratem Janem, Ryskiem Riedlem, Leszkiem Winderem i wieloma innymi ciekawymi Artystami. Równolegle występowałem w pobliskim Planetarium, gdzie nagrałem eksperymentalny album *Podróż w krainę wyobraźni*. W „Leśniczówce” formowały się składy rockowe, bluesowe, jazzowe, wszyscy byliśmy w kręgu ognia – to było kosmiczne. Jestem naturystą i ten las otaczający klub bardzo mi pasował.

Jak doszło do powstania SBB?

Na przełomie lat 60. i 70. modne były fajfy – jam sessions odbywające się około godziny 17.00, na przykład w kawiarni „Parkowa” w Siemianowicach Śląskich. Grywałem tam regularnie, a pewnego razu zagrał ze mną Jerzy Piotrowski na perkusji. Apostolis przyszedł z gitarą pod mój dom i oczarował mnie swoją muzykalnością. Zaczęliśmy razem grać i ćwiczyć – najpierw w klubach, potem u mnie w piwnicy. Od początku tworzyliśmy jednak w swoim stylu. W ten sposób, w 1971 roku, powstał zespół Silesian Blues Band. Przez dwa lata graliśmy z Czesławem Niemenem jako Grupa Niemen, nagrywając cztery albumy: *Strange is this world* (CBS), *Oda do Wenus* (CBS), *Marionetki* (Polskie Nagrania), *Requiem dla van Gogha* (Polskie Nagrania). W 1974 roku, już jako SBB w nowej odsłonie „Szukaj, Burz, Buduj”, działaliśmy do 1980 roku. Pierwszy album koncertowy pod tytułem SBB nagraliśmy w kultowym warszawskim klubie Stodoła. Występowaliśmy na wielu festiwalach, m.in. Jazz nad Odrą we Wrocławiu, Jazz Jamboree w Warszawie, festiwal w Opolu, festiwal w Sopocie.

Nawiązaliśmy wiele przyjaźni muzycznych – zarówno w Polsce, jak i zagranicą – jak chociażby z Tomkiem Szukalskim czy Tomkiem Stańko. Muzycy węgierscy z Lokomotiv GT, Omega, Scorpio do dziś są pozostają z nami w przyjaźni, podobnie jak artyści czescy i niemieccy, z tamtych rejonów, gdzie kiedyś przebiegała „żelazna kurtyna”. Te relacje zaowocowały zaproszeniami na koncerty w Brnie, Pradze, Berlinie, Austrii, Szwecji, Szwajcarii, Holandii, Danii i na Węgrzech. W tamtej dekadzie SBB było nieprawdopodobnie niesione





– mieliśmy świetne recenzje, a w Europie kwalifikowano nas jako *symphonic rock*, obok takich zespołów jak Genesis czy Pink Floyd. Występowaliśmy w towarzystwie brytyjskich i amerykańskich grup, graliśmy na scenach z najlepszymi na świecie: Bobem Marleyem, Eltonem Johnem, Soft Machine, Marillion, Deep Purple czy Colosseum II. Zaproszono nas na największy europejski festiwal w Europie w Roskilde w Danii, byliśmy pierwszymi muzykami z Polski, którzy tam zagrali. Tak się złożyło, że właśnie w dniu naszego występu obchodziłem 30. Urodziny. Ktoś napomknął o tym Bobowi Marleyowi – jego chórek zaśpiewał mi wtedy *Happy Birthday to You*. Fajnie, no nie?

Super! Od 1974 roku SBB nagrało wiele albumów, które ugruntowały wysoką pozycję zespołu na rynku polskim i europejskim, a w 1980 roku rozpoczęłeś karierę solową.

Za dużo było pracy – w muzyce i wokół niej – byliśmy zmęczeni, dlatego zawiesiliśmy działalność na pewien czas. Jednakże spotykaliśmy się jeszcze wiele razy, by wziąć udział w nowych projektach. Mnie zawsze interesowały różne style i gatunki muzyczne, choć klasyka pozostała dla mnie szkołą życia, zwłaszcza jeśli chodzi o przygotowanie manualne. W kolejnych latach nagrałem wiele autorskich albumów opartych na instrumentach elektronicznych, m.in. skomponowałem utwory dla Haliny Frąckowiak na płytę *Ogród Luizy*. W 1983 roku, wspólnie z Tomaszem Szukalskim, wydaliśmy awangardową płytę *Ambitus Extended*. Stworzyłem muzykę do ponad 30 przedstawień teatralnych, spośród których wymienię *Medeę* Teatru Powszechnego w Warszawie z Krystyną Jandą w roli głównej i w reżyserii Zygmunta Hübnera oraz *Historyję o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim* Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, za którą dostałem Złotą Maskę w Katowicach. Napisałem operę *Pokój saren*, wystawioną przez Operę Śląską w Bytomiu. Dawałem recitale fortepianowe, nagrywałem ze Zbigniewem Preisnerem.

Na przełomie wieków występowałem jako muzyk-imigrant w paryskich teatrach, wspólnie z Wiesławem Komasą i francuskimi aktorami. Skomponowałem muzykę do kilku filmów Lecha Majewskiego, Jerzego Skolimowskiego, Piotra Szulkina. W *Wojnie światów* Szulkina wystąpiliśmy nawet z SBB – z moim bratem i Tomkiem Szukalskim. Graliśmy w Hali Gwardii, operatorzy kręcili, w pewnym momencie na scenę wszedł Roman Wilhelmi i mnie zaatakował. Nikt z zespołu, oprócz mnie i reżysera Piotra Szulkina, nie był uprzedzony o tej scenie. Mój brat brat Jan przerwał granie, podbiegł i nakrzyczał na Wilhelmiego!

Zajmowałem się też tworzeniem muzyki sakralnej. Od początku lat 80. regularnie występuję na festiwalach oratoryjnych – w ramach Wratislavia





Józef Skrzek



Józef Skrzek z rodziną

”

Najważniejsza nagroda to Rodzina, poczucie szczęścia, życie wśród pięknych ludzi. Dar, jakim jest talent, z którym idziesz przez życie – to prawdziwe mocarstwo. Za wszystkie nagrody jestem wdzięczny, każda z nich ma swój miraż.

fot. Przemysław Pomarański

Cantans grałem z Olgą Sz wajgier i Michałem Banasikiem – a także w kościołach i miejscach kultu, takich jak Jasna Góra, Góra św. Anny czy podczas pielgrzymek w Piekarach Śląskich. Wykonywałem tam zarówno recitale organowe, jak i koncert łączące brzmienia akustyczne z syntezatorami. Jeśli dostajesz talent – trzeba nad nim pracować i dzielić się nim z ludźmi, bo przecież grasz właśnie dla nich.





Alina i Józef Skrzek





W zeszłym roku grałem preludium Chopina na festiwalu organowym w Filharmonii Koszalińskiej, wspólnie z klasykiem organów, Eugeniuszem Wawrzyniakim z Belgii. Czułem tam energię, czułem, jak publika reaguje – wyczuwam, kiedy mnie lubi. We wrześniu 2024 roku, na zaproszenie Sebastiana Riedla i zespołu Dżem, grałem w katowickim Spodku koncert poświęcony Ryśkowi Rydlowi – mojemu przyjacielowi.

Jakie przed Tobą plany?

W przygotowaniu jest wydawnictwo z koncertu zagranego podczas wydarzenia „Trzy cerkwie” w Bieszczadach – z chórem „Cantati” oraz muzyką elektroniczną do słów Jerzego Harasymowicza. Trwa także praca nad *The Voyage* – multimedialnym spektaklem z obrazami Jana Sawki, poezją Edwarda Stachury, stuosobowym chórem, prof. Henrykiem Janem Botozem na organach piszczałkowych, zespołem SBB oraz solistami, w tym moją córką Elą. Premiera odbędzie się 14 czerwca 2026 roku w NOSPR w Katowicach. Jestem wędrowcem, którego ciągle rwie. W Paryżu nazwano mnie Viator i to określenie dużo bardziej do mnie przylega niż Józinek. Przez większość życia nieustannie podróżuję. Jednak od prawie czterech lat jestem wdowcem i stałem się domatorem. Dom to moja oaza, moja pracownia – miejsce, w którym zbieram się na nowo. Z Alinką zbudowaliśmy Świątynię Rodziny i ta Miłość będzie trwała na wieki.

Kiedy poznałeś żonę?

Po koncercie w Bydgoszczy poszliśmy z chłopakami na kolację. Do restauracji przyszły dziewczyny. Ja wówczas byłem całkowicie pochłonięty muzyką – albo grałem, albo ustalałem trasy koncertowe, nawiązywałem kontakty, wybierałem miejsca, w których będziemy grać, udzielałem wywiadów. A tu nagle wchodzi Alinka. Spojrzałem na nią i już wiedziałem, że z tą kobietą rozpocznę wędrówkę. Wszystko, co wydarzyło się z Alinką, było cudowne.

Zostałeś ojcem trzech córek, jedna poszła w Twoje ślady.

Najmłodsza, Ela, śpiewa ze mną. Moim zdaniem ma kilka dobrych utworów, ale chce je dopracować do perfekcji. Robi doktorat z prawa. Najstarsza Karina też śpiewała jako nastolatka – nagrała singiel *Miłość*. Dziś jest przedszkolanką i mamą dwóch ślicznych córeczek: Julii i Lenki. Córka Luiza skończyła Szkołę Filmową w Łodzi i pracuje jako producentka filmowa – zawsze była „dziewczyną filmu”.

Z filmem *Dziewczyna z igłą* pojawiła się nawet na czerwonym dywanie w Hollywood. Jesteśmy rodziną w znakomitej komitywie.





Zostałeś doceniony niezliczonymi nagrodami i wyróżnieniami, m.in. Złotym Fryderykiem za całokształt twórczości. Która z nich jest dla Ciebie najważniejsza?

Najważniejsza nagroda to Rodzina, poczucie szczęścia, życie wśród pięknych ludzi. Dar, jakim jest talent, z którym idziesz przez życie – to prawdziwe marzecarstwo. Za wszystkie nagrody jestem wdzięczny, każda z nich ma swój miraż.

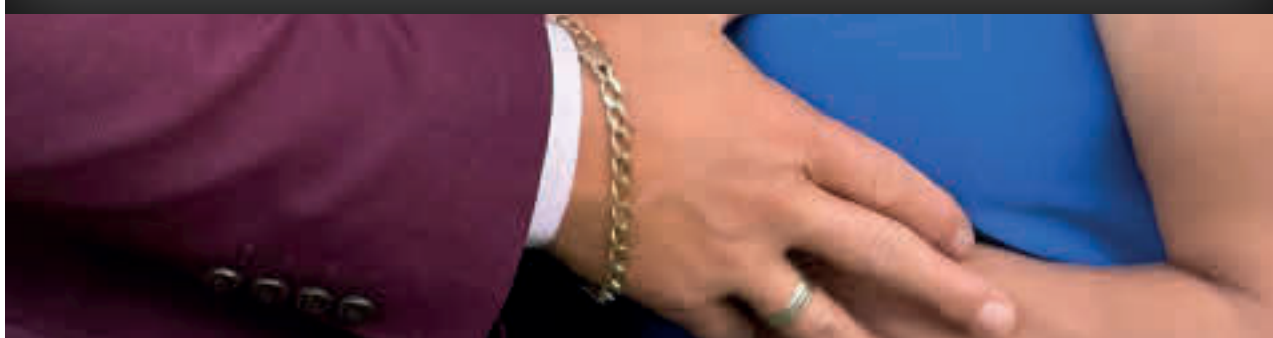
A w jaki sposób odpoczywasz?

Wkładam głowę w rzekę – i niech mi szumi. Kocham naturę – czy to morze, czy góry, wschód słońca czy rzeka. To dla mnie pierwszorzędna inspiracja – pewna i szczerą.





Alicja i Sławek Wojciechowscy





Alicja i Sławek Wojciechowski

Alicja i Sławek Wojciechowski, małżeństwo, które prowadzi wspólnie działalność gospodarczą od ponad 40 lat.

Są właścicielami rodzinnej firmy Alles Lingerie założonej w 1992 roku w Głownie pod Łodzią, która produkuje bieliznę dla kobiet nie tylko piękną i sensualną, ale również w najwyższej jakości. Szczycą się tym, że produkcja wyrobów odbywa się w Polsce dając pracę ponad 100 osobom.

W zarządzaniu firmą kierują się najlepszymi wartościami, takimi jak: szacunek, wiarygodność, odpowiedzialność i rzetelność. To najważniejszy drogowskaz i kompas w życiu zarówno założycieli, jak i dorosłych następców firmy.

Za sukcesy na polu gospodarczym oraz wszechstronną działalność społeczną, obejmującą mecenat nad kulturą, sztuką i sportem, zostali uhonorowani tytułami Liderów z powołania w najbardziej prestiżowej kategorii: *Liderzy XXI wieku*. Oboje są laureatami tytułu *Piękni 50-letni* w kategorii *Najpiękniejsza Para*.

Firma Alles została nagrodzona statuetką *The Best & More*.

Alicja Wojciechowska otrzymała także statuetkę *Nadzwyczajnej Kobiety Charyzmatycznej*. Ponadto zdobyła tytuł Zasłużonej dla Miasta Głowna oraz Brązowy i Srebrny Krzyż Zasługi nadane przez Prezydentów Polski – odznaczenia, które są wyrazem uznania dla służby innym.



Kompas życia

*Tylko życie poświęcone innym,
warte jest przeżycia.*

Albert Einstein

Rozmowa z Alicją i Sławkiem Wojciechowskimi, którzy wspólnie stworzyli rodzinę, zbudowali markę Alles opartą na wartościach, zaufaniu i pięknie kobiecej natury, a także dom marzeń nad jeziorem – dokładnie w miejscu swojej pierwszej randki. Z biegiem lat odkrywają, że im są dojrzałsi, tym bardziej potrzebują się nawzajem. Chętnie zapraszają gości do swojej nowej rezydencji, w której planują organizować kameralne, kilkudniowe pobyty relacyjne dla par świętujących jubileuszowe rocznice. Chcą pokazywać, że dojrzałość może być najpiękniejszym etapem życia.

Jak zaczęliście budować swoją własną historię pół wieku temu?

AW: Każda wielka historia ma swój początek w marzeniu. Nasze marzenie zrodziło się z potrzeby stworzenia czegoś trwałego, co nie tylko zapewni byt naszej rodzinie, ale stanie się też wartością dla innych. Naszym celem nie było szybkie wzbogacanie się, ale stworzenie firmy, która przetrwa próbę czasu i da ludziom stabilizację.





Alicja i Sławek Wojciechowski





Czy udało Wam się spełnić wszystkie marzenia?

SW: Nie jestem pewien – czy naprawdę wszystkie? Kto by pomyślał, że zamieszkamy w rezydencji nad Jeziorem Górskim w Nowych Rumunkach pod Płockiem, dokładnie tam, gdzie 53 lata temu odbyła się nasza pierwsza randka. Pływaliśmy łódką, ciesząc się młodością i miłością. Dziś to miejsce jest naszym domem i przystanią na dalsze lata.

AW: Każdy człowiek nosi w sercu miejsce, do którego pragnie wracać. Nasza willa, otoczona dębowym lasem, stała się dla nas oazą spokoju. W letnie poranki powietrze przesycane jest zapachem podszycia leśnego, a w sezonie obfitości las obdarza nas grzybami i jagodami. To miejsce, które oddycha naturą – czyste, pełne harmonii i niezmiennie piękne o każdej porze roku. Kiedy powstawała nasza rezydencja, wiedzieliśmy, że ma być czymś więcej niż domem – nie tylko dla nas, ale też dla rodziny i przyjaciół. Chcieliśmy, aby stała się symbolem: miejscem, które łączy człowieka z naturą, ale też przypomina o tym, co duchowe. Dlatego nadaliśmy jej szczególną symbolikę – cyfry anielskie 3, 6 i 9. Każda z nich niesie ze sobą inną, wyjątkową wibrację. Trójka to radość, harmonia i twórczość. Symbolizuje pełnię życia, kreatywność i siłę ducha, która daje początek nowym działom. Nawiązuje do Trójcy Świętej. Szóstka oznacza miłość, rodzinę i troskę o drugiego człowieka. Przypomina, że najważniejsze jest serce i więzi, jakie tworzymy oraz pielęgnacja dobrych wartości. Dziewiątka to duchowość, mądrość i dojrzałość. Oznacza pełnię drogi i zdolność do filantropii, niesienia pomocy ludzkości oraz pracy dla ludzi. Te liczby nadają naszej willi szczególną aurę. Wierzmy, że dzięki nim dom promieniuje dobrem i energią, która otacza każdego, kto w nim przebywa.

Jak ważna dla Was jest rodzina?

AW: To fundament wszystkiego, co nas łączy. Naszym najpiękniejszym i najcenniejszym osiągnięciem są nasze dzieci – córka i syn. To właśnie w nich odnajdujemy sens, dla nich uczymy się cierpliwości, pokory i radości. Od najmłodszych lat wykazywali niezwykłą wrażliwość i zdolności. Każde z nich kroczy swoją drogą, wnosząc do niej zaangażowanie, pracowitość i odpowiedzialność. Patrząc na nich mamy pewność, że wartości, którymi żyliśmy, zakorzeniły się również w ich życiu. Rodzina była i jest naszym miejscem, gdzie rodzi się siła, kształtują się charaktery, dojrzewa miłość i człowiek uczy się prawdziwego oddania – i właśnie dlatego wszystkie inne osiągnięcia, zawodowe, materialne czy społeczne, mają sens tylko wtedy, gdy wyrastają z tego fundamentu. Córka Karina i syn Jarosław założyli swoje rodziny. Z oddaniem dbają o rozwój, zgodę





i szczęście swoich bliskich, osiągając sukcesy, które napawają nas dumą. Wnuczka Liwia, córka Kariny i Marcina, to nasz wielki skarb. Mądra, wrażliwa i piękna, nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie, 17-letnia dziewczyna, która z każdym rokiem zachwyca dojrzałością i sercem pełnym empatii.

Pochodzicie z Główna, spod Łodzi, tak?

AW: Urodziliśmy się w Głównie, miasteczku położonym nad rzeką Mrogą i otoczonym lasami. To właśnie tam założyliśmy pierwszą firmę i rozpoczęliśmy nasze biznesowe przedsięwzięcia: najpierw sklep z artykułami pochodzenia zagranicznego oraz warzywami i owocami „Cytrynka”, następnie działalność hurtową, którą prowadził mój mąż. Kolejnym krokiem było stworzenie firmy Alles, specjalizującej się w produkcji bielizny damskiej.

Czy nadal jesteście związani zawodowo z firmą?

AW: Ciągłe jesteśmy aktywni zawodowo. Firma nadal jest zarejestrowana na mnie, a odpowiedzialność prawna spoczywa wciąż na moich barkach. Obecnie przygotowujemy ją do zmian. Nasza córka posiada pełnomocnictwo potwierdzone notarialnie i wraz z mężem Marcinem zarządza przedsiębiorstwem, dokładając wielu starań, aby sprostać oczekiwaniom kontrahentów i klientek. Jesteśmy im wdzięczni, ponieważ przejęli stery w trudnym czasie, jakim było ogłoszenie pandemii. Bycie razem daje nam siłę. Im bardziej jesteśmy dojrzaלי czy starsi, tym bardziej siebie potrzebujemy.

SW: Alles to firma rodzinna. Tak było od samego początku. Każdy pełnił swoją rolę i starał się wykonywać ją, najlepiej jak potrafił. Firma została zarejestrowana na Alicję, natomiast ja zarządzałem finansami. Gdy pracował z nami syn Jarosław, odpowiadał za wiele kwestii organizacyjnych i technicznych, wprowadzał innowacje i dbał o sprawy bhp. Ja dokonywałem płatności i kupowałem surowce, zawsze mając na uwadze bezpieczeństwo finansowe. Tak funkcjonowaliśmy wszyscy razem – Alicja, syn Jarosław z małżonką Beatą oraz córka Karina z mężem Marcinem – bo siła tkwi w jedności. Jeśli ktoś z nas potrzebowało wsparcia, nie było pytania: czy pomożesz? To było oczywiste.

Zawsze byliście zgodni?

AW: Pracowaliśmy w jednym biznesie i czasami mieliśmy różne zdania. To normalne, nie uniknie się takich sytuacji. Zawsze jednak rozmawialiśmy i uzgadnialiśmy działania, cel mieliśmy zawsze ten sam. Podstawą jest wzajemny szacunek, nie tylko do siebie, ale i innych. Ja zawsze mówię: „nie rób tego, co tobie niemiłe,





szanuj każdego, a i ciebie będą szanować”. 34 lata istnienia firmy to nie tylko liczba – to dowód wytrwałości i wierności wartościom. Dla nas najważniejsze było i jest to, by szacunek wobec pracownika był zawsze na pierwszym miejscu. Wierzymy, że każdy człowiek ma w sobie potencjał, a naszym zadaniem jest go dostrzec i pomóc mu rozkwitnąć. W naszej firmie zawsze chodziło o dawanie przykładu, że biznes może i powinien opierać się na wartościach – takich jak uczciwość, zaufanie, lojalność i wzajemny szacunek. Kiedy patrzymy na wszystkie te lata, widzimy nie tylko liczby, budynki czy osiągnięcia, ale przede wszystkim ludzi. To oni tworzą serce firmy. To dzięki nim nasze marzenie sprzed kilku-dziesięciu lat stało się rzeczywistością, która trwa i rozwija się dalej. Pracownicy do dziś są jak jedna wielka rodzina, staraliśmy się dbać o nich.

Na czym to polegało?

SW: Staraliśmy się, żeby pracownicy byli sprawiedliwie wynagradzani, docenialiśmy szczególny wkład i zaangażowanie. W firmie zyskałem przydomek „ordynatora”, bo każdego ranka odwiedzałem wszystkie działy. Wierzę, że warto było powiedzieć „dzień dobry”, ucisnąć dłoń, zapytać, czy wszystko w porządku i czy mogę w czymś pomóc. Budowanie więzi to fundament dobrych relacji.

AW: Organizowaliśmy szkolenia, konkursy, spotkania integracyjne. Na wigilię Bożego Narodzenia wynajmowaliśmy restaurację, a w firmie przygotowywaliśmy wydarzenia takie jak Dzień Rocznicy Firmy, Dzień Przyjaźni czy inne uroczystości. Przez wiele lat prowadziłam również spotkania ze „znakami zodiaku” – zapraszałam osoby urodzone pod znakiem np. Barana na tort, a każdy uczestnik otrzymywał upominek. Albo urządzałam imprezy parom jubileuszowym – małżeństwom obchodzącym 5-, 10-, 15-lecie ślubu – był tort, szampan, pamiątkowe zdjęcie oraz wspólny wyjazd do teatru. Starłam się, by wszyscy pracownicy uczestniczyli chociaż raz w takim wydarzeniu. Organizowaliśmy konkursy na najpiękniejszą ozdobę świąteczną – nagrodzone prace w ramach dodatkowego wyróżnienia przez miesiąc były eksponowane w Miejskim Ośrodku Kultury. Prowadziłam w firmie zajęcia gimnastyczne. Od młodości brałam udział w życiu artystycznym w szkole i poza szkołą. Grałam na mandolinie, tańczyłam w młodzieżowym zespole „Mazowsze” – prowadzonym w Głównie przez członkinie Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”.

Szkolicie brafitterki?

AW: Muszą być szkolone. Większość kobiet preferuje biustonosze z fiszbinami, a jeśli są źle dobrane, mogą mieć i mają wpływ na zdrowie piersi. Biustonosze





muszą być dobrze dopasowane pod względem rozmiaru, fasonu i dobrane zgodnie z oczekiwaniami klientki, aby czuła komfort i wygodę przez cały dzień.

Jak obecnie wygląda Wasza współpraca z zagranicą?

SW: Wyglądała i wygląda bardzo dobrze. Przyszły nowe pokolenia, które również chcą współpracować z firmą, jednak obecnie zajmuje się tym Karina wraz z mężem. Teraz pracują nad dużym kontraktem z firmą kanadyjską, której przedstawiciele byli już u nas z wizytą. Ich działania są przemyślane i wyważone, a to niezwykle cenna cecha.

Działacie też szeroko społecznie.

SW: Staraliśmy się dostrzegać potrzeby ludzi wokół nas – młodzieży, osób w trudnych sytuacjach oraz różnych grup, które potrzebowały wsparcia. Moje zaangażowanie w życie społeczne zawdzięczam również Alicji, która zawsze ma dużo pomysłów, a ja chętnie je wspieram.

AW: Wiedzieliśmy, że dzielenie się czasem, energią i środkami ma głęboki sens, bo z każdej takiej pomocy rodzi się coś większego – nadzieja, zaufanie i motywacja do działania – i właśnie dlatego nie było to działanie okazjonalne, lecz świadomy wybór. Polski Związek Niewidomych, Latające Babcie w Locie z Dziadkiem i wiele innych. Jako Ambasadorka Przedsiębiorczości Kobiet w Polsce przez kilka lat organizowałam i sponsorowałam w całej gminie i mieście Główno konkurs „Młody Kreator Przedsiębiorczości” dla uczniów najbardziej zaangażowanych w życie szkoły i lokalnej społeczności. W roku 2025 i 2026 z mojej inicjatywy firma Alles sponsoruje warsztaty „Nie hejtuję – motywuję”, prowadzone przez Ilonę Adamską i jej Fundację W zgodzie ze Sobą.

Nasza firma od kilku lat wspiera Fundację im. Królowej Kaziemierzy w Wilanowie, Dom Aktora w Skolimowie, oraz programy „Debiutantki” i „Młoda Polka” organizowane przez Agnieszkę Michalczyk, prezes Zarządu tej fundacji bardzo oddaną tej pięknej i jakże potrzebnej inicjatywie.

SW: Szczególnym rozdziałem w naszej działalności był klub koszykówki dziewcząt TK Alles Główno, który prowadziliśmy przez 11 lat. Przyznam, że bardzo się zaangażowałam, ponieważ dostrzegałam w tym ogromny sens – zarówno dla rozwoju tej dyscypliny w naszym mieście, jak i dla rozwoju samych dziewcząt.

AW: Do rozwoju koszykówki w naszym regionie w ogromnym stopniu przyczyniło się zaangażowanie mojego męża Sławka – prezesa klubu, który nie szczędził



Alicja i Sławek Wojciechowscy



”

Chcemy innym pokazać, że życie może być nieustanną podróżą – a nie miejscem przeznaczenia – podróżą pełną sensu, bliskości i inspiracji.

środków, sił, czasu i serca, aby drużyna osiągała jak najlepsze wyniki w Polsce. Dzięki jego pasji, determinacji i odpowiedzialności klub nie tylko zdobywał wysokie miejsca, lecz także awansował do I Ligi zawodowej koszykówki. Co więcej, kształtował w młodych zawodniczkach charakter, ducha walki, wiarę w siebie oraz w siłę zespołu. To właśnie dzięki takim ludziom sport staje się nie tylko rywalizacją, ale też szkołą życia – uczącą szacunku, wytrwałości i pracy zespołowej. Klub, któremu mąż poświęcił tyle energii, stał się ważną częścią lokalnej społeczności. Organizowane turnieje, spotkania i sportowe wydarzenia integrowały mieszkańców, budowały więzi i promowały miasto Głowno w Polsce i za granicą. Za oddanie i serce włożone w pracę z młodzieżą należą się mężowi słowa najwyższego uznania i wdzięczności.



Z obrad Kapituły Programów *Kobieta Charyzmatyczna* oraz *The Best & More 2025*, które odbyły się w Rezydencji Alicji i Sławka Wojciechowskich

Działacie społecznie także na rzecz Nowych Rumunek?

AW: Kiedyś ta miejscowość nosiła nazwę Dębowa Góra. Jako członkini Rady Sołeckiej i pani sołtys staram wraz z innymi się przekonać mieszkańców do powrotu do tej nazwy. Część osób popiera ten pomysł, część woli pozostać przy obecnej nazwie.

Co udało się zrobić dla sołectwa?

SW: Podjęliśmy inicjatywę integracji mieszkańców wsi – zaprosiliśmy ich na Sąsiedzki Piknik, każdy przyniósł coś od siebie w koszyczku. Chcemy również zainicjować organizację Święta Wsi w 2026 roku i liczymy na przychylność





pani wójt oraz powiatu plockiego. Wieś liczy około 160 mieszkańców, w dużej mierze to osoby, mieszkające tu od pokoleń, ale także przybysze z Krakowa, Warszawy i Płocka. Jeśli chodzi o promocję wioski, nasz ogród zdobył pierwsze miejsca w konkursach na Najpiękniejszy Ogród w gminie Łąck i Najpiękniejszy Ogród w powiecie plockim. Doceniono aranżacje, różnorodność i jakość roślin, które zachwycają wszystkich odwiedzających.

Szczególnie latem uwagę przyciągają róże, lawenda i hortensje, a jesienią niezwykle klimat tworzy zachodzące słońce oświetlające jezioro Górskie.

AW: Nie znaliśmy się wcześniej, a zależało nam, by się poznać i zbliżyć do siebie. Planujemy zakup namiotów, stolików, ławek, by móc częściej się spotykać i integrować – bo dziś, bardziej niż kiedykolwiek, warto trzymać się razem. Ostatnio uczestniczyłam w spotkaniu z panią wójt, podczas którego poruszyłam temat wspierania lokalnych producentów. W naszej okolicy działa wielu rolników prowadzących niewielkie gospodarstwa i być może produkują sery, pieką chleby, hodują kury. Zaproponowałam, byśmy zaczęli się wspierać, wymieniać usługami i polecać nawzajem. W tym celu założyliśmy grupę na Facebooku. W ubiegłym roku nasze sołectwo po raz pierwszy otrzymało fundusze, które – decyzją mieszkańców – przeznaczaliśmy na poprawę oświetlenia ulic i wymianę lamp. Gmina nie dysponuje dużym budżetem, dlatego to właśnie mieszkańcy starają się, by nasza wioska stawała się coraz piękniejsza. To bardzo cenna inicjatywa, bo pochodzi od ludzi. Mam nadzieję, że zostanie doceniona.

Z jakich osiągnięć jesteście najbardziej dumni?

AW: Żadne wyróżnienie, żaden tytuł i żaden sukces nie rodzą się w samotności. Za każdym osiągnięciem stoi nie tylko własny wysiłek i determinacja, ale także wsparcie bliskich, którzy w chwilach słabości podają rękę, a w chwilach radości dzielą szczęście. Dlatego zanim opowiem o swoich osobistych osiągnięciach, chcę z całego serca podziękować mojemu małżonkowi i naszym dzieciom. To oni byli zawsze przy nas – cierpliwi, gotowi nieść pomoc i dodawać odwagi. Bez ich obecności i miłości żadna z naszych dróg nie byłaby pełna. W swoim życiu otrzymałam wiele wyróżnień, każde z nich jest dla mnie nie tylko zaszczytem, lecz przede wszystkim przypomnieniem, że warto żyć dla innych, podejmować kolejne wyzwania i nieustannie działać z myślą o dobru wspólnym. Z dumą przyjęłam tytuł Zasłużonej dla Miasta Główna, który uhonorował moje inicjatywy na rzecz mieszkańców i społeczności lokalnej. Ze wzruszeniem i wdzięcznością przyjęłam także Brązowy i Srebrny Krzyż Zasługi nadane przez Prezydentów Polski – odznaczenia, które są wyrazem uznania dla służby innym. Szczególne





miejsce w moim sercu zajmują również wyróżnienia związane z Polskim Związkiem Niewidomych – Złota i Srebrna Odznaka, które przypominają, jak ważne jest otwieranie drzwi i serc przed tymi, którzy potrzebują wsparcia i solidarności. Czuję ogromną wdzięczność także za tytuły, które wskazują na siłę inspiracji i przedsiębiorczości: Ambasador Dobroczynności, Ambasador Przedsiębiorczości Kobiet, Charyzmatyczna Osobowość branży Fashion, Inspiratorka Roku 2017, Kobieta Przedsiębiorcza województwa łódzkiego, a także Nadzwyczajna Kobieta Charyzmatyczna i Lider XXI Wieku przyznane przez Redakcję Why Story. Wszystkie te tytuły składają się na opowieść o życiu pełnym pasji, zaangażowania i odpowiedzialności. Ale najważniejszą nagrodą, jaką otrzymałam, pozostaje miłość mojej rodziny. Bo tylko z nią każdy sukces staje się prawdziwy i pełny. Nie byłibyśmy w tym miejscu w życiu, gdyby nie Bóg, ludzie i wydarzenia, które stanęły na naszej drodze. Dzięki ich dobroci, a także naszej determinacji i umiłowaniu piękna, udało się stworzyć miejsce wyjątkowe, dom i ogród, które zachwycają harmonią i obdarowują każdego życzliwością. To właśnie jest kompas naszego życia. Jesteśmy wdzięczni za dobro, którym obdarzył nas los. Szczęście, które mamy, być może nie zawsze umiemy docenić, ale pragniemy je pielęgnować i dzielić się nim z innymi.

Alicjo, zdrowo i pięknie wyglądasz w tych bursztynach. Byłaś w SPA?

AW: Tak, pod adresem Willa 3.6.9 [śmiech]. Mam jonizator powietrza – szczególnie w okresie grypowym warto z niego korzystać, choć nie tylko wtedy. Razem z mężem dwa razy dziennie po kilka minut stosujemy terapię Bemer. Staramy się też jak najczęściej korzystać z wanny z masażami oraz sauny na podczerwień. Nie mam zbyt wielu kamieni szlachetnych, bo dotąd nie przywiązywałam wagi do biżuterii. Chyba, że kupowałam innym w prezencie. Dzielenie się z innymi było moim hobby, odkąd zostaliśmy małżeństwem. Ale kupię sobie kolejne bursztyny i myślę, że dostanę też od mojego kochanego męża. Do zdrowia przywiązujemy coraz większą wagę. Wyszukuję, czytam i słucham podcastów osób, które motywują do zdrowych nawyków. Mamy też poranny rytuał: pijemy kawę z olejem kokosowym, do tego dokładam 30% śmietankę. Taka kawa daje moc, nie ma po niej uczucia głodu i dzięki temu można łatwiej przejść do dwóch posiłków dziennie. W zupełności nam wystarczają.

Jakie macie plany na przyszłość?

SW: Naprawdę mamy tu co robić. Wcześniej żyliśmy głównie obowiązkami zawodowym, teraz to się zmienia i zaczynamy żyć po prostu pełnią życia, korzystając z każdej chwili, która zachęca do aktywności.





Alicja i Sławek Wojciechowscy



Uczestnicy Kapituły Programów *Kobieta Charyzmatyczna* oraz *The Best & More 2025*, które odbyły się w Rezydencji Alicji i Sławka Wojciechowskich

AW: Wyjeżdżamy na spotkania biznesowe, koncerty, do firmy. Ja działam w Kole Gospodyń Wiejskich i w sołectwie, spotykamy się z przyjaciółmi, wiele ciekawych osób chętnie nas odwiedza. Myślimy o organizowaniu wieczorów przy świecach i lampce wina, w tle z delikatną muzyką oraz ciekawymi opowieściami – tak, aby poczuć magię skrzydeł dobrego anioła. Chcemy to robić raz w miesiącu, żeby mieć trochę swobody. Pierwsze takie spotkanie z grupą z zewnątrz już się odbyło – obrady Kapituły Kobiet Charyzmatycznych. W ogrodzie planujemy organizować małe koncerty, które będą relaksować ciało i duszę. Już nie mogę się tego doczekać.

Jako laureaci tytułu *Piękni 50-letni* możecie zapraszać innych pięknych w miłości i sercach...

AW: Taki właśnie mamy pomysł na 3- lub 4-dniowe pobyty dla par obchodzących jubileusze – wyjątkowe spotkania, które łączyłyby warsztaty z coachem na temat żywienia, jak być szczęśliwym, jak sobie pomagać nawzajem, jak dbać o swoją atrakcyjność oraz inspirujące rozmowy z ciekawymi ludźmi. Dopełnieniem byłyby aktywności na świeżym powietrzu: pływanie łodzią po jeziorze, przejażdżki rowerem po okolicy, spacer po lesie, wycieczki do Płocka, wspólne zachody





słońca nad Wisłą, powitanie słońca nad brzegiem jeziora oraz chwile relaksu. Każda para wyjeżdżałaby z pięknym zdjęciem, prezentem oraz wspomnieniami, które pozostaną z nimi na długo. Chcemy, by to miejsce tętniło życiem – pełne było rozmów, śmiechu, refleksji i wzajemnego wsparcia. Planujemy stworzyć ofertę wyjątkowych pobytów dla par, które – tak jak my – pielęgnują miłość i wspólne wartości. Chcielibyśmy inspirować, motywować i pokazywać, że dojrzałość może być najpiękniejszym etapem życia. Nasza inicjatywa to nie tylko projekt – to misja, która wyrasta z naszej historii, przekonań i potrzeby dzielenia się dobrem.

SW: Aktywność mamy we krwi. Zawsze powtarzam, że trzeba żyć długo i szczęśliwie, myśleć pozytywnie – bo wiadomo: jakie myśli, takie zdarzenia i takie życie. Odpoczywam, będąc w ruchu – dbając o ogród, moje ukochane róże i krzewy. Roślinności jest tak dużo, że zajmuje mi to niemal cały rok, ale to sama przyjemność i jednocześnie pożytek dla zdrowia. Wolę być stale aktywny, spotykać się z ludźmi, rozmawiać, wiedzieć, co dzieje się w świecie i poszerzać swoją wiedzę.



Nasze wschody słońca podczas których chodzę na boso po trawie popijając ciepłą wodę z cytrynką





Alicja i Sławek Wojciechowscy



AW: Chcemy innym pokazać, że życie może być nieustanną podróżą – a nie miejscem przeznaczenia – pełną sensu, bliskości i inspiracji. Choć wiele już osiągnęliśmy, wciąż mamy w sobie przestrzeń na nowe marzenia. A naszym największym pragnieniem jest, by to, co zbudowaliśmy, mogło służyć innym – z serca do serca. Moje osobiste motto życiowe: „To, co z serca pochodzi, do serca trafia” (Don Sibet).



